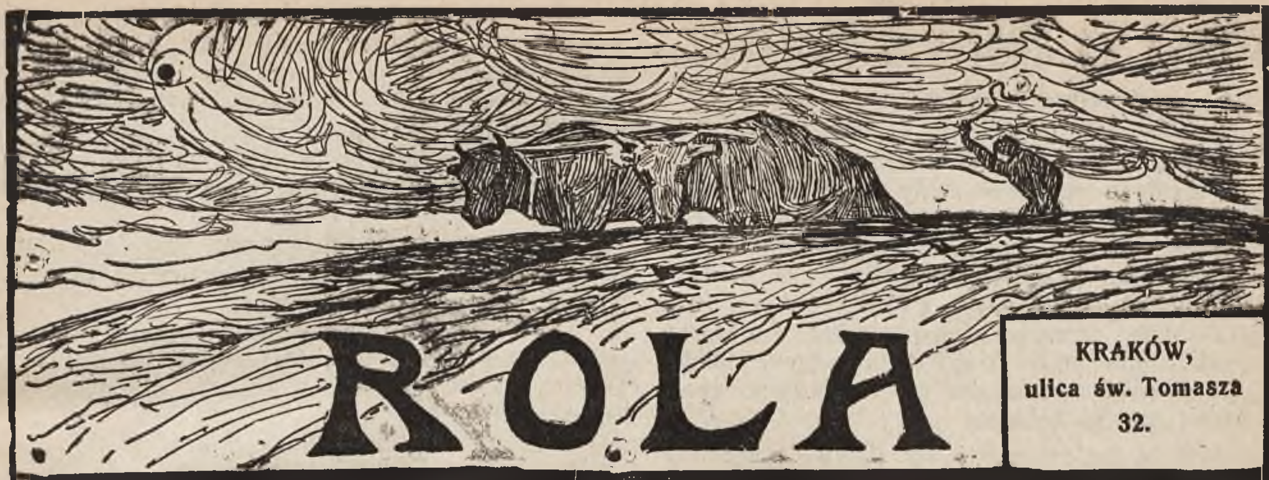
Numer 4. Rok IX. Kraków, dnia 21 Listopada 1926.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY DWUTYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata: Do Nowego Roku 1 złoty 32 grosze; — do Ameryki pół dolara; — do Czechosłowacji 6 kor.; — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 25 gr. Ogłoszenia zwykłe 20 groszy za jeden wiersz milimetrowy jednoszpaltowy (9 cm.), ogłoszenia zamiejscowe o 15 proc droższe. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.**

ŚW. STANISŁAW KOSTKA.



W ubiegłą niedzielę t. j. dnia 13 listopada cała katolicka Polska obchodziła nadzwyczaj wspaniale rocznicę śmierci św. Stanisława Kostki. Któżto był ten Kostka, zapyta może niejeden. Czy wojownik jaki przepotężny, który gromił Turki i Tatary lub łamał potęgę krzyżacką, czy uczony wielki, który ludzkości nowe drogi pokazywał? Ani jedno, ani drugie. Było to młode chłopię, nie różniące się zewnętrznie od niejednego z was, młodzi Czytelnicy. Było to potulne, skromne chłopię, które, sądząc po ludzku, niczem nadzwyczajnem się nie odznaczyło, a przecież zasłużyło sobie na to, że mu dzisiaj nietylko cały naród polski, ale cały świat katolicki hołd i cześć oddaje.

Stanisław Kostka urodził się na Mazowszu w Rostkowie w 1550 roku, jako syn kasztelana zakroczymskiego. Mając ojca zajmującego dość wybitne stanowisko, miał też dość sposobności do uciech i rozrywek.

Ale mały Staś nie lubował się w nich, lecz wszystkie wolne chwile przepędzał na modlitwie i rozmyślaniu o Panu Bogu, marząc, aby, gdy dorośnie, mógł zostać księdzem i w zupełności poświęcić się Panu Bogu. Jako czternastoletnie chłopię wraz z starszym bratem Pawłem żegna swoich rodziców, swój Rostków ukochany, żegna i tę drogą mu Polskę, której już nigdy w życiu więcej nie miał ujrzyć. Zamożny kasztelan, Jan Kostka, wysyłając swych synów na nauki za granicę, nie wiedział o tem, że droga, w którą się udali, najeżona była cierniami cichej a dobrowolnej ofiary, że po niej syn jego wstąpi na ten piedestał, z którego kiedyś polskiej młodzieży będzie orędował, a przed którym my będziemy kornie schylali kolana.

Ciernie zaczęły się już w Wiedniu, gdzie Paweł nie był młodszemu bratu opiekunem i doradcą, ale starał się go wszelkimi siłami wciągnąć w złe towarzystwo, co mu się jednak zupełnie nie udało. Mały Staś okazał wielki hart ducha, opierając się zwycięsko grożącym jego duszy pokusom. W czasie pobytu swego w Wiedniu postanowił wstąpić do zakonu OO. Jezuitów. Starania jego spełzły na niczem, gdyż prowincjał zawsze dawał odmowną odpowiedź, żądając ojcowskiego zezwolenia, na które Stanisław nie mógł liczyć. Wówczas Stanisław zdobył się na czyn bardzo ryzykowny, jak na tak młodego chłopca. Postanowił bowiem wyrzec się dostojeństw, nauki, niemal rodziny i narażając się na straszny gniew ojca, ucieka z Wiednia do Augsburga i Dillon w Bawarji, skąd z listami polecającymi prowincjała Kanizjusza dalszych 300 mil podąża przez śnieżne Alpy pieszo do Rzymu.

Tutaj został w r. 1568 przyjęty do nowicjatu w zakonie, gdzie w 10 miesięcy później w 18 roku życia zeszedł z tego świata, aby królować w niebie wśród wybranych pańskich.

Krótki to i prosty życiorys tego wielkiego świętego, ale ileż on zawiera w swej treści przykładu dla naszej młodzieży, dla tej młodzieży, która ma być włodarzem naszej Ojczyzny, która ma stanowić podwaliny szczęścia swoich współbraci. Gdyby tylko mała część chociażby tej młodzieży poszła w ślady swojego wielkiego patrona, a Polska zajaśniałaby największą chwałą wśród wszystkich narodów świata.

Tajemnica na dworze królewskim.

Powieść historyczna.



Królowa, ocierając łzy, siedziała dość długo w myślach zatopiona, gdy nagle z poza zasłony u drzwi rozległ się płacz stłumiony. Poruszona tym głosem królowa powstała, uchyliła zasłonę u drzwi prowadzących do komnaty panien służebnych królowej, i tu ujrzała jak dwie dziewczęta cuciły trzecią, leżącą omdlałą na ławie. Królowa zdziwiona zbliżyła się do mdlejącej dziewczyny, gdy ta nagle podniosła się i składając ręce, upadła przed nią na kolana.

Błagająca ta cudnej piękności dziewica była to Teodora, córka ochmistrza królewskiego dworu Sieciecha, a królowej Emnildzie jak własna córka ulubiona. Królowa przyczyny tych łez i rozpaczy pojąć nie mogła, bo od wszystkich kochane i pieszczone dziewczę skarżyć się na nikogo powodu nie miało.

— Ocal go! Miłościwa pani, ocal! — krzyczała z płaczem Teodora, — albo i mnie niech razem z nim stracą!

Królowa Emnilda skinęła na towarzyszki Teodory, aby wyszły, i zwolna podnosząc ją z ziemi, spytała łagodnie:

— O kim mówisz dziecię moje, nie rozumiem cię.

Ze słów, łkaniem przerywanych, młodej dziewczyny dorozumiała się królowa, że od dwóch już lat pomiędzy piękną Sieciechówną a Jurgą Jaksem, w czasie świąt obchodzonych na grodzie zawiązał się stosunek miłosny. Ile razy Jurga był w Poznaniu, znalazł zawsze sposobność widywania się z piękną Teodorą, i wnet przyszło do tego, że jej po cichu zapowiedział już swaty. Nieszczęsna ruina majątkowa i bieda, w jaką dwaj bracia popadli, wstrzymała jego zamiar, ale na dworze już o wszystkiem wiedziano. A że ojciec nie byłby pozwolil Teodorze wyjść za mąż za ubogiego, więc czekano lepszych czasów. Nagle wśród tych mów o przyszłem szczęściu młoda dziewczyna dowiedziała się, że Jurga na śmierć skazany. Rozpacz ją ogarnęła, niepomna wstydu niewieściego, pobiegła do królowej, jakby do matki.

— Dziecko moje — rzekła królowa choć nie wiedziałam, czem jest Jurga dla ciebie, chodziłam do króla błagać go o przebaczenie dla tych dwóch braci — ale nic to nie pomogło.

— Pani moja! — zawołała łkając dziewczyna — jeśli on stracony będzie, poślijcie mnie gdzie do klasztoru, już świata znać nie chcę!

— Bóg tylko jeden ocalić go może — rzekła królowa — lecz uspokój się dziecię, uczynimy, co w ludzkiej jest mocy.

Dziewczęta służebne, którym odejść kazano, przestraszone rozpaczą Sieciechówny, pobiegły do jej ojca, a ten pospieszył do ukochanej jedynaczki; w chwili gdy królowa wychodzić miała, Sieciech stary zjawił się na progu. Ujrzawszy córkę zapłakaną, klęczącą na ziemi z podniesionemi do góry rękoma, zbliżył się do niej przestraszony.

Teodora, której dodawało odwagi niebezpieczeństwo, objęła nogi ojca, wołając i nie tłomacząc się jaśniej.

— Ojcze mój ukochany, masz łaskę u króla! wyproś! wybaw go od śmierci!

Zdumiony ojciec, dla którego miłość córki dla Jurgi dotąd tajemnicą była, zwrócił się do królowej.

Z jej ust dopiero usłyszał, o kogo prosiła Teodora, spuścił siwą głowę i stanął, jak skamieniały.

— U króla!... u króla wyprosić łaskę, gdy poprzysiągł — szepnął głosem złamanym — tego ani nasza miłościwa pani, ani opat Aron, ani święty nasz męczennik, św. Wojciech, gdyby wstał z grobu, nie potrafiłby pewnie... a cóż ja?...

Teodora ciągle zanosiła się od płaczu, królowa tulić ją i pocieszać zaczęła, stary Sieciech stał zadumany.

Milczenie trwało dość długo, gdy nagle dziewczę podniosło się z ziemi i z błyszczącemi oczyma zawołało, całując ręce królowej:

— Pani moja miłościwa! słyszeliście, co ojciec mówił... on zna króla! Odważ się miłościwa pani! Ocalmy ich mimo wiedzy króla!... dla niego samego ich ocalmy!

I rzuciła się znów na kolana.

— Wiem, słyszałam — mówiła — że ich w więzieniu tracić mają. Nikt widzieć nie będzie... Wy rozkazać możecie, kat rękę powstrzyma, niechaj zostaną ukryci w więzieniu, aż się gniew pański uśmierzy... Nikt ciebie, pani, nie zdradzi, bo was wszyscy miłują... król nie spyta...

Gdy odważna dziewczyna wymawiała te słowa, Sieciech i królowa zamilkli, strwożeni na samą myśl nieposłuszeństwa temu, którego gniew był jak piorun groźny.

— Dziewczę szalone — rzekła po chwili milczenia Emnilda — wiesz-że ty, czego śmiesz żądać odemnie? Gdybym stała się nieposłuszną, na siebiebym wyrok wydała, i na sumienie króla...

Królowa mówić przestała; Sieciech zadumał się smutnie. Córka błagała o ratunek, gdzie już żadnego nie było.

— Miłościwa pani — odezwał się wreszcie — płonne są obawy wasze, król ma dla was serce i poszanowanie. Któż wie, ażaliby wdzięcznym nie był, gdybyś go od własnego gniewu ratowała?

Królowa zamyśliła się trwożliwie.

— Kto wie? Kto wie? — powtórzyła z cicha. — Życie dwóch ludzi, którzy za grzechy swe odpokutować czas będą mieli, czy nie więcej warte, niż mojego szczęścia ostatek? Mieszko i Dobromir już matki nie potrzebują, we dworze mnie młoda Ryksa synowa zastąpi...

I znów łzy z oczu jej się potoczyły.

Ta iskierka nadziei w szał wprawiła Teodorę; padła do nóg królowej i całować i ściskać ją zaczęła. Sieciech stał niemy, nie śmiejąc ani namawiać królowej, ani jej odradzać.

Emnilda zbliżyła się do niego i szepnęła:

— Proście do mnie ojca Arona — a wracając do Teodory, rzekła:

— Odejdź stąd, uklęknij i módl się. Wszystko jest w mocy Boga, ale jego woli nigdy się sprzeciwiać nie trzeba. Idź dziecko moje w spokoju.

To powiedziawszy, wróciła królowa do pierwszej komnaty i doszedłszy do klęcznika swego, padła na kolana i gorąco modlić się zaczęła.

Długi dość czas upłynął, nim przybycie opata oznajmiono.

— Ojcze mój, — rzekła drżącym głosem królowa — rady twojej proszę. Radźcie nie jako królowej, ale jako ubogiej niewieście chrześcijańskiej. Godziż się dla ocalenia żywota ludzkiego kłamstwo popełnić?

Zdumiony opat stał przez chwilę milczący.

— Miłościwa pani — rzekł po namyśle — ojcowie Kościoła nawet są w tym względzie różnego zdania. Sumieniu spowiednika i rozumowi kapłana zostawia Kościół ocenienie czynu. Bóg waży tajemne myśli człowieka, ludzie sądzą... potępiają.

— Wyznam wam jak na spowiedzi — rzekła królowa, patrząc bystro w oczy opata — kuszona jestem, abym dla ocalenia skazanych zbyt porywczo przez męża mego na śmierć dwóch młodzieńców, kłamstwo popełniła i ludzi do popełnienia go skłoniła. Wiecie ojcze o kogo chodzi! Są to dzieci znacznej rodziny, która króla odstąpi i gniewna z całem mieniem wyniesie się z kraju, hańbę unosząc z sobą. Mam-że odważyć się na niełaskę męża mojego i pana, i wziąść grzech na sumienie, ażeby spełnić miłosierny uczynek?

— Nie grzech popełnisz, miłościwa pani — rzekł — ale zasługę mieć będziesz u Boga. Sumienie twe mocą kapłańską rozgrzeszam. Lecz... choć ukochanej naszej królowej i pani, znajdziesz się człowiek tak śmiały, tak pobożny, coby jej chciał być posłusznym? Ważysz wasza król. mość wiele, ale ten co cię posłucha wbrew rozkazowi pańskiemu, więcej jeszcze ważyć musi, bo głowę i życie.

— Ojcze mój! — zawołała królowa z błyskiem radości na twarzy — to sprawa moja, sama odpowiem za wszystkich, jedna będę winną.

Gdy opat odchodził zamyślony, królowa znikła już z komnaty, a obróciwszy się, usłyszał tylko szelest jej sukni i drżącą zobaczył we drzwiach oponę.

Noc była nadeszła. Na zamku cisza zapanowała. Więzienie, do którego wrzucono dwóch Jaksów, znajdowało się opodal dworca, do wałów przyparte. Były to ciemnice do połowy w samym nasypie ziemnym skryte. Ciężkie wrota w żelazo okute, a przy nich mniejsza furtka mocno zaryglowana, wiodły do izb dla więźniów przeznaczonych. W jednej z tych izb na garści słomy w ciemnościach leżeli teraz Andruszka i Jurga, Znosili mężnie swą niedolę, już się nie spodziewając ocalenia. W tej ostatniej godzinie ich miłość braterska wzmagała się jeszcze. Jurga siebie obwiniał, Andruszka jako starszy winę na siebie przyjmował, każdy gotów był na śmierć z radością, gdyby tem brata mógł ocalić.

Leżąc na słomie obok siebie, liczyli chwile pozostałe. Za każdym szelestem w podziemiu, zdawało im się, że już krwawy pieniek o drzwi uderzy i na śmierć powołani zostaną.

Wtem koło drzwi coś skrobać poczęło.

Przez szpary zabłysło światełko słabe, opadł drąg drzwi przyciskający, stróż więzienny, którego nie wiedzieć dlaczego Rybą zwano, wsunął się do lochu, z pękiem łuczywa w ręku.

W kożuchu na gołem ciele, z nogami skórą obwiązanemi, z kudłatą głową i oczyma wypukłemi, człowiek ten straszny był, jak kat, którego też nieraz zastępować musiał.

Gdy Ryba wszedł, bracia mimowolnie przycisnęli się do siebie, dłonie ich mocno się ujęły, serca mocno uderzyły — sądzili, że już po nich przychodzi. Stróż wziął przy otwieraniu pozostawiony za drzwiami dzbanek i kawał czarnego chleba, którym był dzbanek przykryty i przystąpił z nim do barłogu.

Andruszka nań popatrzył:

— A co nam potem? — rzekł — wszak dziś?...

Ryba zmierzył go wypukłemi oczyma, wstrząsnął głową i nic nie odpowiedziawszy, powlókł się do drzwi, które zatrzasnąwszy za sobą, już miał drągiem zawalać, gdy usłyszał szmer u wejścia, niby sprzeczkę. Drąg opadł, światło zwróciło i opat tyniecki w czarnym, długim płaszczu wszedł wolnym do więzienia krokiem. Ryba, podniósłszy w górę łuczywo, przyświecał w progu, z miejsca się nie ruszając. Obaj bracia na widok duchownego powstali. Znali od dawna opata Arona, ulubieńca Bolesława. Wszedłszy, odezwał się opat, że im pociechę chrześcijańską przynosi i spytał, czyby rodzinie nie mieli co do przekazania, lub prośby jakiej przedśmiertnej, którejby zadość mógł uczynić. Mówiąc to spoglądał dziwnie na stróża.

Niezrozumiałe naprawdę były to odwiedziny. Jaksowie już przez kapelana królewskiego na śmierć przygotowani, jemu też wszystkie swe zlecenia przekazali.

— Mój Ojcze, rzekł smutnie Andruszka — nie pozostało nam prosić o nic, chyba o modlitwy za dusze.

— To obowiązek kapłański — odezwał się opaat, ale człowiek do ostatniego tchnienia w miłosierdziu Bożem i cudach Opatrzności nadzieję mieć powinien. Tam, gdzie prośby nawet umarłych nie pomogły, Bóg poradzić może.

Słowa te wymówił duchowny znacząco i z naciskiem, a więcej jeszcze wzrok jego mówić się zdawał.

Andruszkę uderzyło to tylko, że opat wspomniał o prośbie umarłych.

— A któż umarły mógł wstawiać się za nami? — zapytał smutnie.

Opat w krótkich słowach opowiedział dwom braciom o szlachetnym postępku starego Janka Jaksy i jego syna.

Obaj bracia słuchali zdumieni.

— Któżby się tego po tak zagniewanym stryju był mógł spodziewać — szepnął Jurga.

— Cóż król na to odpowiedział? — spytał Andruszka. Opat milczał, a z tego łatwo się domyślili bracia, że się zmiękczyć król nie dał.

— Ojcze mój — odezwał się Andruszka — nie złorzeczę wyrokowi pańskiemu, i życia nie żałuję.

Zasłużyłem na karę, bom był głową domu, ale też na mnie jednego spaść była powinna sprawiedliwość i pomsta pańska. Jurga powinien był ocalać, abyśmy z całym rodem nie ginęli.

— A! niechby los ten padł na mnie! — przerwał Jurga — jam więcej winien, bom się pierwszy dał namówić.

W tej chwili dwaj bracia spojrzeli sobie w oczy przy blasku łuczywa, zarzucili sobie ręce na ramiona i głowy ich oparły się o siebie w serdecznym uścisku i jęk bolesny rozległ się w ciemnicy.

Opat patrzał na to z niewysłowionem zdumieniem. Widział on już nieraz dwóch wspólników zbrodni, którzy winę i karę wzajemnie na siebie zrzucać usiłowali, ale nie zdarzyło mu się jeszcze spotkać ludzi, coby idąc na śmierć, wyręczać się i jeden za drugiego ginąć chcieli, potrząsał więc głową, jakby tego pojąć nie mógł.

— Miejcie nadzieję w miłosierdziu Bożem — cicho szepnął opat.

Obaj bracia zbliżyli się, aby rękę jego ucałować, a on powtórzył im dobitnie, po cichu:

— Módlcie się i miejcie nadzieję...

I pobłogosławiwszy ich, wyszedł spieszno. Ryba drzwi za nim zatrzasnął i drąg założył.

Dwaj bracia zostali znowu w ciemnościach; słaby tylko promyczek nadziei przyświecać im teraz zaczął. Po długiej z sobą rozmowie o stryju Janku, któremu się mimowolnie do śmierci przysłużyli, zasnęli wreszcie. Wtem zbudził ich szelest i stąpania, kroki ludzkie wyraźnie się ku ich drzwiom zbliżały. Zaczęto odwalać drąg i światło zabłysło, Jurga i Andruszka, widząc nadchodzącą chwilę śmierci, rzucili się sobie w objęcia i uściskali. Gdy oczy podnieśli, ujrzeli w izbie pełno ludzi. Pachołkowie to byli jacyś zakapturzeni, i wskazywali im ręką tylko, aby natychmiast wstawali i szli za nimi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dnie bolesne.

Gwałtowny wiatr jesieni szalał na polach szerokich. Wirował na ścierniskach niepoparowanych jeszcze, wyrywał z korzeniami zeschłą kostrzeń lub wrzos, kruszył i ponosił ze sobą i na las rzucał dębowy, targając ostatnie, zwarzone mrozem liście. Czasami znów do wydm piaszczystych przypadał, porywał tumany pyłu i chmurom czarnym posyłał, co skłębione pędziły nad ziemią...

Wąską, polną ścieżyną, zmierzającą ku borom szumiącym szka niska, przygarbiona wieśniaczka, pomagając sobie kosturem. Oblicze jej i odzienie wskazywały na przeciętny typ wiejskiej przepracowanej wyrobnicy. Szła do miasta spiącego gdzieś jeszcze za borów obszarem, ukrytego w dalekości sinej. — Szła i łzy jej ciekły po twarzy a usta szeptały modlitwę...

Tam w murach miasta była cała jej pociecha i podpora — był skarb bezcenny — syn, Michaś gimnazjalista. Za grosz przez tyle lat ciułany, przy pomocy dyrektora szkoły i księdza katechety do szkół go oddała i właśnie ten rok miał być ostatnim w jego studjach gimnazjalnych. A po wakacjach? Dusza matki wezbrała radością. — Po wakacjach Michaś miał przywdziać sutannę... To było szczytem marzeń i matki i syna.

Dawno go nie widziała. Dziś tam szła, biegła prawie, bo wieść ją doszła okropna: On, jej syn najmilszy, pieszczota najsłodsza, jej ksiądz (jak go już w duchu nazywała) chory. I bardzo chory. Tak list zwiastował obcą pisany dłonią.

— Jezu, Jezu! — szeptały rozpalone wargi — by jak najprędzej do niego, by jak najprędzej. Matczyna piecza męki mu ulży, bole ukoi...

I biegła. Wiatr szarpał jej suknie, chustę z bark zdzierał, barowała się z nim jak z pracą codzienną i biegła. Pochylona i blada minęła szybko rozłogi, zmówiła pacierz u stóp statuy Matki Boskiej, stojącej pod lasem samotnie i w omszone weszła dąbrowy. Utrudzenie i wiek zmuszały ją prawie do odpocznienia — lecz ona spieszyła naprzód. Rankiem się wczesnym wybrała i już było dobrze po południu a o mieście ani słychu.

Jezu! czy aby nie zbłądziła?... Ale nie! Tam za olch koronami dachy czerwone przebłysły. To ono! Z bijącem gorączkowo sercem wchodziła w ulice miasta...

Tuż na skraju, przed wielkim, białym budynkiem studentów spotkała gromadę. Takie mundurki mieli jak jej Michaś i twarz taką chłopską, rumianą. Wymówila nazwisko. Uczeń zbladł. Popatrzył na nią długo i boleśnie i na dom biały wskazał. A gdy milczała, wziął ją za rękę i powiódł w podwórze. Do przybudówki niskiej wprowadził...

Jakby piorun w nią uderzył — spojrzała, krzykła i padła. — Na marach leżał jej Michaś, chudy, biały, marmurowy. Ręce złożone miał jak do modlitwy — lecz się nie modlił jeno spał — spał wiecznie.

I nie jęczała już, gdy wróciła do przytomności i na marach się wsparła. I nie jęczała, gdy z bram szpitalnych orszak żałobny wyruszył i ksiądz requiem zanucił. I nie płakała, gdy go w mogiłę żałosną złożyli i chór kolegów pieśń pożegnania zaśpiewał. Stała zdrętwiała a oczy jej w jeden punkt tylko patrzyły — w grób czarny.

I nie odezwała się ni słowem, choć trumna jej Michasia pod warstwą zniknęła gliny; milczała, gdy ksiądz położył dłoń bladą na jej powiędłem czole.

Nie widziała jak mrok szybko pomiędzy mogiły zapadał, nie czuła, że stróż cmentarny wywiódł ją cicho przed bramę i do niej coś zagadał. Postała chwilę a potem bezwiednie wróciła w tę samą ulicę, którędy przybyła i za miasto drogą się powłokła.

Noc zapadła głęboka, wicher ulewą smagał a ona szła jakby bez czucia, w odrętwieniu jakiemś wielkiem i kamiennem. Nie wiedziała, że zeszła na leśną ścieżkę, że obłamane wiatrem gałęzie uderzały i raniły jej twarz, że oderwany zeschły konar mógł ją położyć na miejscu. Szła ciągle naprzód, omijając jakby instynktem zawały i przeszkody.

Ale i niebo czuło dla niej miłosierdzie, bo wicher przycichł jakoś i deszcz przestał padać. Hen od wschodu szła jasna księżycowa pogoda. Mijały zwolna godziny i północ puszczyk wyhukał. Las rzedniał coraz bardziej i w gęstwę się zmieniał dębiny, aż i za nią pozostał.

Tuż przed nią przy polnej drodze zamajaczyła statua Matki Bolesnej, którą przedtem minęła. Oczy jej zaczęły się wpatrywać uporczywie w twarz Dziewicy — długo — długo — długo... Coś zdawała się myśleć, coś przypominać, wreszcie jęk jakiś okropny i przerażający wydarł się z jej piersi. Z nieukojonym szlochem do stóp Królowej przypadła. Przypomniała wszystko: Jej syn, jej przyszłość, nadzieja cała i wesele leżał oto tam — na miejskim cmentarzu grubą warstwą ziemi przysuty. Wszystkie rojenia i sny świetlane leżały tam w ziemi, w tej białej trumnie cmentarnej.

Skulona i zziębła na płycie statuy głowę złożyła i płakala serdecznie. Skarżyła całą swoją dolę i męczarnie, Tej, co niegdyś na szczycie Golgoty podobny los cierpiała. Spowiadała swój bój i zawód okropny Bolesnej długo, długo i rzewnie...

A gdy zaświtał ranek, wzięła kij w rękę i powlokła się ku miastu do mogiły Michasia...

Jan Baranowicz.



Szczęścia kruszynę...

Tyle się człowiek za czemś ugania,
Nie wiedząc za czem i czego szuka,
A to „coś“ znaleźć niewielka sztuka —
Choć się tajemnie mgłami zasłania.

Tyle chwil człowiek marnie roztrwania
W pogoni za czemś, co samo puka
O wrótnie duszy i samo szuka
Ludzkiego cienia i tęsknic łkania...

I nie wie człowiek, przedwcześnie ginąc,
Że tak małego trzeba wysiłku —
By zaspokoić szczęścia kruszyną

Tęskniącą duszę — nim u lat schyłku
Gasnącym oczom, w łzach się rozpłyną,
Wizje szczęścia w pozłocistym pyłku...

. . . .

Albatros.

HUSARZE POLSCY POD WIEDNIEM.



Iluż z nas jest takich, którzy nie odbywali służby wojskowej, lub jej w przyszłości odbywać nie będą. Wiemy więc wszyscy dobrze, czem jest dzisiejszy żołnierz. Jest on w pierwszym rzędzie ślepym wykonawcą rozkazów swoich przełożonych, którzy są niejako mózgiem całego wojska. Naczelny wódz i jego najbliższy sztab obmyślają wszystko, co i jak ma być, rozsyłają swe rozkazy komendantom korpusów. a ci komendantom pułków, a pułkownicy zarządzają, co należy, aby obmyślany cel przez sztab generalny i naczelnego wodza jak najskuteczniej i najszybciej osiągnąć. Często nietylko żołnierz, ale i oficer nie wie, dlaczego on tę lub inną czynność wykonuje. I nie potrzebuje wiedzieć, ale wiedzieć to musi, że od skrupulatnego spełnienia nawet najdrobniejszego polecenia często wynik całej walki zależy.

Dawniej było inaczej. Wprawdzie i dawniej naczelny wódz kierował całą akcją, ale dowódcy poszczególnych oddziałów mieli więcej swobody i niejednego czynu mogli na własną rękę dokonać. Ale też dawniej i wojsko było inne. Do wojska nie brano każdego, czy chciał, czy nie, ale szła doń tylko szlachta, czyli rycerstwo, które od lat chłopięcych nieraz do późnej starości uganiało się po całej Polsce za nieprzyjacielem. Rycerz taki nabierał doświadczenia a przez to prędzej sobie dawał radę nawet w najtrudniejszych sytuacjach.

Ale i sposoby walki były wówczas inne. Dziś, jak wiadomo, najważniejszą rzeczą jest, aby żołnierz dobrze się ukrył przed nieprzyjacielem. Potrafi to przeważnie lepiej uczynić lada mikrus, niż chłop wielki i olbrzymiej siły. Dawniej, kiedy walczono pierś w pierś, im kto był silniejszy, a przytem zręczny, mógł być pewniejszy zwycięstwa. To też często się zdarzało, że jeden stawał przeciw dziesięciu i tak sobie dawał radę. I strój był inny. Gdy jeszcze prochu nie znano i walczono bronią sieczną, trzeba było zabezpieczyć swoje ciało od uderzeń i pchnięć nieprzyjacielskich. To też nasi praojcowie przywdziewali zbroję żelazną, aby ich chroniła od uderzeń nieprzyjacielskich.

Takich właśnie rycerzy widzimy na naszym obrazku. Są to husarzy polscy, którzy w bohaterskim ataku pokonali Turków pod Wiedniem w roku 1683. Zbroja żelazna a u ramion olbrzymie skrzydła, mające na celu przestraszać konie nieprzyjacielskie i nieść wśród nie zamieszanie. Skrzydła te przyczyniały się niejednokrotnie do powodzenia w zaciętych walkach.

Maciek Bzdura gada:

Opowiadali mi nieboscka babka, o ilem ją miał, bo ani najstarsi ludzie nie pamiętają i nie wiedzą, skąd ja się na tem świecie wziął, opowiadali mi więc babka, ze z babami nikt na świecie nie poradzi. Nie poradzi z niemi ani ksiądz probosc, ani organista, ani nawet sam pan prefesur, który pono wszyćko umi, a tego jednego się nie naucył, jak rodzonej babie dać radę. I tak jest i było i będzie na świecie, ze choćby cłek miał tysiąc słusności, to baba tak wszyćko przekręci, ze musis się jesce przed nią sumitować i za to, co ona źle zrobi, jesce ją przeprasać. Zrestą, cy ja wiem, a moze jest na świecie taki chłop, który rodzonej babie daje radę, to jak jest niech przyjdzie do mnie, a obiecam mu złoty zegarek.

Otóz opowiadali mi babka, ze nieboscyk król Dawid, świeć Panie nad jego dusą, miał ślepego brata Semiklesa. Dawid miał babę i Semikles miał babę i wszyscy cworo mieskali w jednej chałpie. Dawid, jak na świętego przystało, prowadził zycie bogobojne, jego baba tez. Semikles takze jako brat królewski i do tego ślepy takze trzymał się dobrze, ale baba Semiklesowa to nie bardzo. A winna była nietyle ona, co drzewo, które przed chałpą Dawidową stojało. Drzewo było winno, bo się tak rozrosło, ze baba Semiklesowa zrobiła se na niem namiot i w niem się kazdego dnia wylegiwała. I jak mi powiadali babka, co dzień na to drzewo właził takze jej narzecony, taki po ciotce, i tam oboje grzysyli. Jak grzysyli, to mi babka nie opowiadali, dość, ze grzysyli i na tem koniec.

Jednego dnia siedział se król Dawid z swoją kobitą przy oknie i zuźrał to szyćko i jako dobry brat pedział bratu, aby na swoją babę lepiej uwazał. Nie powiedział mu całej prawdy, bo go nie chciał trapić, ale odtąd Semikles, gdy tylko jego baba wlazła na drzewo, obejmował je ręcami i tak długo trzymał, póki baba z powrotem nie źlazła. Był on mądry, ale baba jego była jesce mądrzejsa, bo któraz baba jest w takich wypadkach głupsiejsa od chłopa. Odtąd kazała swemu narzeconemu pirwej na drzewo wyłazić, a po osłatku złazić.

I tak wszyćko sło znowu po dawnemu przez jakiś cas, bo choć Semikles przecuwał coś niedobrego i stojąc pod drzewem, wymachiwał ręcami, na nic mu się to nie przydało, bo nic zuźryć nie potrefił.

Dawid trapił się okrutecnie, bo mu zal było brata, a nie wiedział, jak mu o tem wszyćkiem powiedzieć. Choćby mu opowiedział całą prawdę, to spodziewał się, ze Semikles mu nie uwierzy, póki tych dwoje ze sobą nie zobacy, a jesce się rozeźli na niego. A zuźryć nie moze, jako ze ślepy był do cna. Tak tedy powiada król Dawid do swojej baby: Wis co stara! Ja będę się modlił do Pana Jezusa, coby memu bratu wzrok przywrócił, a jak sam zuźry, jaka się mu krzywda dzieje, to złoji babę dobrze i będzie koniec. Ale Dawidowa, jako ze sama była kobitą, lepiej znała od Dawida ten gatunek boskiego stworzenia, więc pada:

— Zbzikowałeś stary, abo co? I na co się to wszyćko przyda? Dopóki Semikles nie widzi, co się tam w górze dzieje, to moze myśleć sobie, co ino chce, ale nic pewnego wiedział nie będzie. A cego ocy nie widzą, to i sercu nie zal. A jak raz wszyćko zobacy, to będzie amen. Sam nic nie skorzysta, a babę rozeźli, ze mu tego ani do sądu ostatecnego nie zapomni, a wkońcu tak wszyćko przekręci, ze ją jesce będzie błagał o przebacenie.

Dawid nie usłuchał swojej baby, jako ze to był król i wolno mu było casem robić, co sam chciał, tak tedy pocął prosić Pana Jezusa, aby bratu jego wzrok przywrócił.

Modlił się i modlił tak długo, aż się to wreszcie Panu Jezusowi uprzykrzyło i brat przejrzał i zuźrał na własne ocy, co się tam na górze dzieje. Pocął krzyceć okrutecnie i wygrazać obojgu tam na górze i wołać, coby prędzej zleźli, bo dłuzej nie wytrzyma, ino ich musi pozabijać.

Narzecony mało nie spadł z drzewa z wielkiego strachu, ale baba Semiklesa powiada:

— Jak chces, zebym zlezła z drzewa, to naprzód odstąp od niego, bo inacej nałamię gałęzi i utłukę cię pod drzewem.

Co było robić! Usłuchał Semikles i odstąpił od drzewa. Wtedy dopiero baba jego spokojnie zlazła na ziemię i odciągnąwszy go trochę na bok, powiada:

— Ześ był ślepy, to wiedziałam, ale ze jesteś taki głupi, to mi ani przez głowę nie przesło. Bo pomyśl sobie, coby to było, gdyby nie ja. Przez trzydzieści lat byłeś ślepy i byłbyś niem do końca zycia, gdyby nie moja ućciwa robota. Pon Jezus za to, ze ja grzysyłam nad twoją głową, przywrócił ci wzrok, a ty bałwanie śmis jesce na mnie narzykać! Bezemnie byłbyś ślepcem na całe zycie. O ja niescęśliwa kobita!

I rozpłakało się babsko jak wół, a biedny Semikles nie wiedział, co ma robić. Wkońcu jednak klęknął przed swoją połowicą i na kolanach ją pocął przeprasać, że jej taką krzywdę wyrządził.

Temcasem narzecony jej najspokojniej w świecie zwiał, a cy wrócił jesce kiedy, o tem mi nieboscka babka ani za zycia, ani po śmierci nie opowiadali.



W jesieni

W czarnem polu — w mrocznej dali
płaczą brzozy rozczochrane...
Po przyziemnej tańcząc fali,
tętnią wichry rozhulane...

W mrocznej dali — w głuchym borze,
w starych mogił gdzieś ustroni,
po zaklętych wód przestworze
wichr piekielną dumę dzwoni...

W ciemnym borze — w strasznym mroku
wichrem rwany liść szeleszcze...
W dole huczy pierś potoku,
z wiatrem echa mkną złowieszcze...

Moja dusza śni Sen Złoty,
skrzydłem wiary ciemnic trąca...
chcąc się wyrwać z szpon ciemnoty
i ulecieć w sfery słońca...

Re-or

Podróż naokoło świata.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ X.

Procesja Indusów.

Przewodnik wybrał drogę koło szyn, zakładanych na kolej, poczem skręcił na kręte drożyny, jadąc o wiele szybciej niż zwykle i starając się omijać wszelkie przeszkody.

Kierując się przez lasy i boczne ścieżki, Pars zyskiwał dwadzieścia mil z okładem, co leżało wszak w interesie pana Fogga.

O godzinie ósmej wieczorem łańcuch gór Vindhias był przebyty i pasażerowie przeszli pieszo przez ruiny jakichś budowli.

Przebyli w tym dniu dużą przestrzeń, bo aż dwadzieścia pięć mil, pozostało drugie tyle do przebycia.

Noc była bardzo chłodna. Na środku placu Pars rozpalił ogień z suchych gałęzi, obiad zaś składał się z produktów, zakupionych w miasteczku.

Podróżni zajadali z wielkim apetytem, potem ułożyli się do snu.

O szóstej rano obudzili się wszyscy. Wyruszono w drogę. Tego jeszcze wieczoru przewodnik miał nadzieję dojechać do celu. Koło południa przejeżdżali zdala od rzeki Ganges, świętego miejsca Indusów. Już dwanaście mil oddzielało ich od Allahabadu. O drugiej wyjechali pod osłoną gęstego lasu, który ciągnął się mil kilka bez przerwy.

Podróż, dobiegająca już końca, zdawała się być zupełnie szczęśliwą, gdy naraz słoń zaczął okazywać niepokój i zatrzymywał się co chwila.

Była wtedy godzina czwarta popołudniu.

— Co to takiego? — spytał brygadjer, podnosząc głowę ze swego kosza.

— Nie wiem, panie oficerze, — odpowiedział przewodnik, — zaraz się może dowiemy.

Passepartout nasłuchiwał i wypatrywał zarazem, pan Fogg wyczekiwał cierpliwie rozwiązania zagadki.

W kilka minut potem dał się słyszeć silny pomruk. Zdawało się, że to, jakby oddalony koncert instrumentów miedzianych. Pars zeskoczył na ziemię, uwiązał słonia do drzewa i zagłębił się w krzew nad brzegiem rosnący.

Wkrótce potem wrócił, mówiąc:

— Procesja braminów idzie po naszej stronie. Jeśli to możliwe, usuńmy się, żeby nas nie spostrzeżono.

Przewodnik odwiązał słonia i uprowadził go w gęstwinę, zalecając podróżnym, żeby nie schodzili na ziemię.

Sam zaś trzymał się w takiej pozycji, żeby, gdy tego zajdzie potrzeba, czemprędzej uciekać.

Wkrótce orszak ukazał się pod drzewami o jakieś pięćdziesiąt kroków od kryjących się podróżnych, którzy doskonale mogli się przyjrzeć tej religijnej ceremonji.

W pierwszym szeregu szli kapłani, ubrani w mitry i długie szaty. Otoczeni byli mężczyznami, kobietami i dziećmi, które śpiewały pewnego rodzaju psalm żałobny, przerywany uderzeniami bębnów i cymbałów. Za nimi w wozie z ogromnemi kołami mieściła się ohydna statua, ciągniona przez parę wołów, ubranych wspaniale.

Statua ta miała cztery ręce, ciało umalowane na czerwono, oczy dzikie, włosy powichrzone, język wywieszony, usta odwinięte. Na szyi miała naszyjnik z głów martwych, na biodrach pas z odrąbanych rąk.

Brygadjer rozpoznał tę statuę.

— To bogini Kali, — wyszeptał, — bogini miłości i śmierci.

— Śmierci, przyznaję, ale nie miłości, nigdy! — powiedział Passepartout. — Cóż to za wstrętna kobieta!



W wozie mieściła się ohydna statua.

Koło statuy kotłowało się od tłumu. Zebrali się tam fakirzy, okryci płachtami, wybladli, gotowi poświęcić każdą kroplę krwi tej bogini, maniacy rzucający się pod koła wozu Jaggernauta.

Za nimi kilku braminów w uroczystem milczeniu wlokło jakąś kobietę, która zaledwie się trzymała na nogach.

Kobieta ta była młoda i biała jak Europejka. Głowa jej, szyja, ramiona, uszy, ręce nogi, pokryte były klejnotami, naszyjnikami, branzoletami i kolczykami.

Za kobietą tą — kontrast uderzający w oczy — strażnicy, uzbrojeni w pałasze gołe bez pochew, i długie pistolety damasceńskie, nieśli trupa. Było to ciało starca, ustrojonego w kosztowny ubiór rajaha. Miał on na sobie, jak i za życia, turban haftowany perłami, pas djamentowy i broń księcia indyjskiego.

Brygadjer patrzał zasmucony na ten orszak i rzekł: — Ofiara! Pars potwierdził skinieniem głowy i położył palec na ustach.

Długi orszak przeciągnął pod drzewami i wkrótce zniknął w głębi lasu.

Filip Fogg słyszał to, co mówił brygadjer i, jak tylko znikła procesja, spytał:

— Co było to takiego? Co to znaczy?

— Panie Fogg, — odpowiedział brygadjer, — jest to ofiara ludzka, ale ofiara dobrowolna. Ta kobieta, którą pan widział, będzie jutro spalona z pierwszym brzaskiem dnia.

— Ach! łotry! — zawołał Passepartout, nie mogąc powstrzymać oburzenia.

— A ten trup? — spytał Fogg.

— To jest jej mąż, książę rajah z Bundelkundu.

— Jakto? — powiedział Fogg, podczas gdy głos jego nie wyjawiał wzruszenia, — te barbarzyńskie zwyczaje istnieją jeszcze w Indjach? A Anglicy czyż nie potrafią temu przeszkodzić?

— W wielu miejscowościach już zanikły, — odrzekł brygadjer, ale nie mamy możności wpływać na te dzikie okolice.

— Nieszczęśliwa! — szeptał do siebie Passepartout. — Spalona żywcem!

— Tak, — powiedział brygadjer, — spalona, a gdyby do tego nie doszło, byłaby stokroć nieszczęśliwszą! Obciętoby jej włosy, karmionoby garstką ryżu, odpychanoby od siebie, patrzanoby na nią, jak na niepotrzebną na świecie i umarłaby wkońcu gdzieś, jak pies parszywy. Myśl o takiej przyszłości skłania niejedną do tej ofiary. Nie pochodzi to z miłości dla zmarłego, lecz ze strachu przed życiem w pogardzie. Bywa czasem, że ofiara jest naprawdę dobrowolną i trzeba gwałtownego zarządzenia, żeby jej przeszkodzić.

Podczas tego opowiadania przewodnik pochylił głowę i rzekł po skończeniu tej rozmowy.

— Ofiara, która ma mieć miejsce jutro rano, nie jest dobrowolna.

— Skąd pan to wie?

— Jest to historja znana w całym Bundelkundzie, — odpowiedział przewodnik.

— A jednak ta nieszczęśliwa zdawała się nie stawiać żadnego oporu, — rzekł brygadjer.

— Odurzono ją dymem kadzideł i opium.

— Ale dokąd ją uprowadzono?

— Do pagody w Pilaji, o dwie mile stąd. Tam spędzi ona noc, oczekując na godzinę ofiary.

— A ofiara ta kiedy będzie miała miejsce?

— Jutro z pierwszym brzaskiem dnia.

Po tej odpowiedzi przewodnik wyprowadził słonia z gąszcza leśnego i wskoczył na szyję zwierzęcia.

Ale w chwili, gdy miał na niego gwizdnąć, pan Fogg zatrzymał go i rzekł do brygadjera:

— A gdybyśmy tak uratowali tę kobietę?

— Ratować tę kobietę panie Fogg!... — wykrzyknął brygadjer.

— Mam jeszcze dwanaście godzin do rozporządzenia. Mogę je na to poświęcić.

ROZDZIAŁ XI.

Uratowanie od śmierci na stosie.

Zamiar był szalony, najeżony przeszkodami, prawie nie do wykonania. Pan Fogg narażał swe życie, a co najmniej swoją wolność, ale nie wahał się ani przez chwilę.

Znalazł przytem w Franciszku Cromarty i przewodnika i chętnego sprzymierzeńca.

Postanowiono, że przewodnik skieruje słonia ku pagodzie i to jak najbliżej.

O pięćset kroków od pagody usadowiła się cała bohaterska gromadka i niepostrzeżona, wsłuchiwała się w okrzyki i wrzaski fanatyków. Przewodnik wiedział z doświadczenia, że młoda kobieta uwięziona została napewno w pagodzie, ale zbliżyć się i porwać ją stamtąd było prawdziwem niepodobieństwem.

A jednak porwanie musiało się odbyć tej nocy, a nie w chwili, gdy ofiara będzie prowadzona na stos.

Pan Fogg i towarzysze oczekiwali nocy. Jak tylko zmierzchło, koło szóstej wieczorem, postanowili obejść wokoło pagodę. Udali się po cichu w głąb lasu.

Po dziesięciu minutach zakradania się przybyli nad brzeg małej rzeczki i tutaj spostrzegli mały skraj lasu, w pośrodku którego wznosił się stos drzewa. Stos ten ułożony był z najprzedniejszego drzewa i nasycony wonnym olejkiem.

Na najwyższem miejscu leżało zabalsamowane ciało starego rajaha, które miało być spalone razem z wdową.

O sto kroków od tego stosu wznosiła się pagoda, której szczyty sięgały wierzchołków drzew.

— Chodźmy! — rzekł przewodnik cichym głosem. I podwajając ostrożność, wraz ze swymi towarzyszami wślizgnął się po cichu między trawy. Wkrótce przewodnik zatrzymał się przed samą pagodą.

Kilka pochodni, wetkniętych w ziemię, oświecało to miejsce. Grunt zajęty był przez śpiących, odurzonych pijaństwem. Wyglądało to na pole bojowe, usłane martwemi ciałami. Ale ku wielkiemu zmartwieniu przewodnika, część straży rajaha czuwała przy drzwiach, zaś część przechadzała się z gołemi pałaszami. We wnętrzu czuwali kapłani.

Zatrzymali się i zaczęli szeptać między sobą.

Czas dłużył się im ogromnie, przewodnik często opuszczał placówkę i szedł patrzeć na skraj lasu. Straż wciąż czuwała, a słabe światełko tliło się w głębi pagody.

Czekano tak do północy. Po ostatecznej rozmowie pan Fogg i towarzysze ruszyli się z miejsca i poszli ku ścianie pagody.

Koło dwunastej przybyli do stóp murów bez natknięcia się na kogobądź ze straży. Ale nie wystarczało dosięgnąć stóp murów, trzeba było zrobić otwór.

Do tej czynności mieli wszyscy czterej tylko noże, miękkość jednak muru nadawała się w zupełności do tych słabych narzędzi.

Pierwszy pokład został zerwany, zabrano się do dalszego, zachowując ogromną ostrożność, aby nie zrobić hałasu. Praca postępowała szybko, gdy naraz krzyk rozdarł powietrze i prawie jednocześnie inne głosy odpowiedziały z zewnątrz.

Porzucono więc pracę natychmiast. Może właśnie posłyszano owo skrobanie i dano znać; na alarm zaś odpowiedziano jednogłośnie. Roztropność kazała uciekać i uczyniono to natychmiast. Skryto się znów w cieniu lasu, czekając, aż alarm ścichnie, w nadziei, że znów do roboty się zabiorą. Ale straż otoczyła całą pagodę, a nawet weszła na jej wierzchołek — myśleć więc o dokończeniu roboty było niepodobieństwem.

Brygadjer zaciskał pięści, Passepartout był wściekły, a przewodnik wstrzymywał się z trudnością od przekleństwa. Jeden tylko Fogg zdawał się być obojętnym na przeciwności.

— Nic innego nam nie pozostaje, jak odejść — rzekł cicho brygadjer.

— Tak, trzeba jechać, — dodał przewodnik.

— Proszę się wstrzymać, wystarczy mi czasu na to, żebym był jutro przed południem w Allahabad.

— Ale czego się pan spodziewa? — spytał brygadjer? — Za kilka godzin dzień zaświta, a wtedy...

— Chwila sprzyjająca może nastąpić właśnie w ostatnim akcie sceny...

Naturalnie wszyscy zgodzili się czekać aż do zakończenia tej straszliwej sceny.

Przeniesiono się na inny punkt obserwacyjny, gdzie ukryci za bukietem drzew mogli widzieć uśpione straże i stos z nieboszczykiem. Passepartout, ukryty za gałęźmi drzew, coś do siebie mówił, jakby naradzał się sam z sobą, wreszcie mruknął:

— A dlaczegożby nie? Próba to ryzykowna, ale a nuż się uda?

Zbliżył się do stosu, oddzielonego od widzów przez drzewa, i czekał.

Godziny upływały szybko i wkrótce chmury rozjaśniły się i wypłynął na niebo pierwszy brzask. Cienie nocy jednak nie ustąpiły.

Była to złowroga chwila dla ofiary...

Zrobił się ruch w tem kłębowisku ciał ludzkich, zmożonych snem i odurzonych piciem.

Rozległy się uderzenia bębnów. Śpiew i krzyki rozbrzmiewały na miejscu ciszy. Przyszła godzina, w której miała zginąć nieszczęsna ofiara fanatyzmu. Drzwi pagody otwarły się narozcież. Silne światło buchnęło z wnętrza.

Fog i jego towarzysze mogli ujrzeć wyraźnie jasno oświetloną ofiarę, którą wlekli kapłani.

Była odurzona z powodu opium, a jednak instynkt samozachowawczy pchał ją do ucieczki i chwilami chciała się wydrzeć z rąk katów.

Serce brygadjera biło mocno i w porywie współczucia i chęci ratunku dla tej nieszczęsnej, chwycił konwulsyjnie za rękę Filipa Fogga i w ręce tej uczuł nóż.

W tej chwili tłum się rozstąpił. Zaczęto kadzić tumanami upajającego dymu i odurzona tem ofiara zdawała się już nic nie czuć i niczemu nie oponować. Szła jakby uśpiona i bezwolna.

Fanatyzm ogarnął bezrozumnych fakirów i lodem opancerzył ich serca. Nie żałowali cudnej, młodej kobiety, jak kwiat zawcześnie więdnącej, nie odezwał się ani jeden głos przeciw temu barbarzyństwu.

Filip Fogg rzucił się wraz z towarzyszami do ostatnich rzędów ciekawego tłumu. W dwie minuty potem byli już nad brzegiem rzeki i zatrzymali się mniej więcej o pięćdziesiąt kroków od stosu, na którym leżał trup starca.

W półcieniu spostrzegli bezwładną ofiarę, leżącą obok trupa męża.

Przyłożono pochodnię do stosu nasyconego olejkami i natychmiast zaczął się on palić.

Tejże chwili brygadjer i przewodnik wstrzymali Fogga, który w szlachetnym szale, kierował się ku stosowi...

Ale Filip Fogg odepchnął ich i chciał pędzić na ratunek, gdy naraz scena wzięła inny obrót.

Podniósł się krzyk przerażenia. Cały tłum padł na ziemię ze strachu.

Stary rajah nie był umarłym. Podniósł się jak widmo, wziął młodą swą żonę w objęcia, zeszedł ze stosu straszliwy w otoczeniu buchających płomieni. Fakirzy, straż, kapłani, zdjęci panicznym strachem, leżeli twarzą do ziemi, nie śmiąc oczu podnieść na podobny cud.

Ofiara nie ciężyła widocznie, bo postać fantastyczna unosząca w płomieniach nieszczęśliwą z ogromną szybkością zeszła ze stosu i jak dziecko uniosła ponad głową uśpioną kobietę.

Podróżni nasi stanęli w miejscu osłupieni. Pars pochylił głowę. Zmartwychwstały przypadł do miejsca, gdzie stał Fogg i rzekł głosem wyraźnym:

— Uciekajmy...

Był to Passepartout, który podpełzł do stosu, podczas gdy dym go otoczył i wyrwał młodą kobietę z objęć śmierci! Był to Passepartout, który odegrał swą rolę z odwagą, nie zważając na olbrzymi tłum, a tylko licząc na przestrach ogólny, gdy to zrobi!

W minutę potem wszyscy czterej znikli z lasu, unoszeni szalonym pędem słonia. Ale krzyki, nawoływania oznajmiły im, że podstęp został wykryty. Po pierwszym bowiem przestrachu zauważono, że trup starca leżał na stosie, i domyślili się, że było to tylko porwanie.

Rzucono się za uciekającymi w las. Straż puściła się w pogoń, ale po zamianie strzałów uciekła, a nasi podróżni umknęli bezpiecznie wraz z uratowaną kobietą.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wszystko mi jedno!

Wszystko mi jedno, czyś ty z gór, czy dolin,
Czyś panna z miasta, czy wiejska dziewoja,
Czy cię kołysze szum zbóż, czy mandolin,
Jasna czy ciemna jest twarzyczka twoja,
Czy krucze włosy okalają czoło,
Czy złote loki spowijają lica,
Czy się uśmiechasz smutno czy wesoło,
Wdowaś, mężatka, czy jeszcze dziewica —
O to się serce me ciebie nie pyta,
Dość mi jest tego, że jesteś kobieta!

Wszystko mi jedno, jakie imię twoje:
Stasia, czy Kasia, Julcia, czy Barbara...
Wszystko mi jedno jakie nosisz stroje —
Czyliś podlotek, czy jak piekło stara —
Wszystko mi jedno, jakie wiedziesz życie
Czy wśród salonów, szychów i atłasu,
Czy jak to ptaszę gdzieś w wiejskiem ukryciu
W głębi pól żyznych, albo w głębi lasu —
O to się serce me ciebie nie pyta —
Dość mi jest tego, że jesteś kobieta!

Wszystko mi jedno! Różnic nie uznaję
I wszystkie kocham, które są na świecie;
Każdej cząsteczkę serca mego daję,
A i tak nadmiar mam go jeszcze przecie.
I choć szron siwy popruszył me skronie,
I w skórze mojej stare są już kości,
To przecież serce młode bije w łonie
Pełne zapału i pełni miłości —
Serce me, które o nic się nie pyta,
Byle to była naprawdę kobieta.

Antoni St. Bassara.



Dzień za dniem.

Dzień za dniem płynie i płynie
w tęsknocie za swojskim domem...
bo w tej łez gorzkich dolinie
grom tylko pada za gromem
w me biedne pielgrzymie serce...

Dzień za dniem płynie i płynie
nad ziemią wichrani gwarną...
słońce w chmur zgasło głębinie,
mrok wokół posiał swe ziarno —
a gdzież me słońca, me tęcze?...

Dzień za dniem płynie i płynie
tęsknoty — jak pustka grobowa...
Cóż mię ma cieszyć?... Jedynie
wiara — że los mi coś chowa:
co wiedzie w szczęścia dziedziny...

Lecz czy nadzieja się ziści,
czy wiara cudów dokona?...
Któż zgadnie? — O, nawet czyści
anieli — u Bożego łona
nie zgłębią wyroków nieba!...

Kropelkę mi kiedyś jedną
dano do spicia rajskiej rosy...
więc wiem, że gwiazdy choć pobledną —
to nie przeminą niebiosy —
więc do nich dążyć trzeba!

Wojciech Byczek.

Odezwa

Związku zawodowych rolników.

Odezwa nasza jest krótka, bo nie bawimy się w słowa, ale w czyny. Naszym celem jest dać rolnikowi to, co mu się należy, do czego ma prawo w swojej ojczyźnie, dając jej chleb i stanowiąc 80 procent ludności.

Środkiem którym do tego celu dojdziemy jest przykazanie, które odtąd każdy wielki czy mały rolnik i robotnik rolny w swoim sercu zaprzysiądz musi, przykazanie, które brzmi: Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Ale ten jeden i ci wszyscy muszą mieć czyste ręce i gorące serca, serca, co jednym i żywotnym bić będą w piersi rytmem.

Wspólna praca — zaufanie — wzajemna sobie pomoc w doli czy niedoli — złączy wszystkich rolników i zrodzi siłę, której nic oprzeć się nie potrafi.

Bo zorganizowanych już związków woła głosem 10 tysięcy rolników.

Naprzód z Bogiem! Wstępujcie rolnicy do zawodowej, apolitycznej organizacji rolniczej.

Na każde wezwanie stawimy się z otwartem i szczerem sercem, by dzielić się z wami tem cośmy już zdobyli — i z wami razem zdobywać dałej nietylko dla siebie ale i dla ojczyzny dobro i szczęście wszelakie.

Umieszczając powyższą odezwę na łamach gościnnej „Roli“, zapraszamy wszystkich członków Związku zawodowych rolników do zaprenumerowania „Roli“, w której odtąd w szerszym zakresie umieszczane będą wiadomości gospodarcze oraz komunikaty i korespondencje Związku zawodowych rolników.

Wszelkich informacyj udziela Związek zawodowych rolników, Zassów pod Czarną, Małopolska.

*

Zamieszczając powyższą odezwę, Redakcja „Roli“ zaznacza, że Związek ten ma na oku wyłącznie cele gospodarcze, zaś do polityki zupełnie się nie miesza.



Poradnik gospodarczy.

Zima się zbliża. Bydło znajduje w polu coraz mniej paszy; wychodzi późno, a wraca wcześnie. Trzeba bardzo uważać, by nie paść bydła na koniczynie pokrytej szronem, gdyż to jest bardzo szkodliwe i powoduje wzdęcia i poronienia u bydła. Powoli bydło powinno przechodzić z paszy jesiennej na paszę suchą (zimową); szybkie przejście z jednej paszy na drugą wywołuje wiele chorób.

Drób w tym czasie należy puszczać w pola, gdyż szkody żadnej nie robi, a oddaje wielkie usługi rolnikom przez to, że zjada masy robactwa i poczwarek, które zostały wyorane i wybronowane na wierzch przez rolnika.

W tym czasie kury zaczynają silniej nieść jaja. Gospodynie powinny zbierać jajka, układać w drewnianych skrzyniach, przesypywać każdą warstwę trocinami; po zapełnieniu całej paczki nasypać na wierzch przynajmniej na 5 cm. trocin. Jaja tak przechowane mogą leżeć przez dłuższy czas, gdyż powietrze, przechodząc przez warstwy trocin, przechodzi powoli, pozbywając się bakteryj i dochodzi czyste do jaj.

Również dobrze przechowują się jaja z zwykłej kuchennej soli. By tej nie marnować, należy jaja przed układaniem czysto obmyć i wytrzeć na sucho, a potem wkładać do glinianych garnków, lub drewnianych skrzynek warstwami na przemian ze solą. Takie jaja mogą być użyte jeszcze na Wielkanoc. Po wyjęciu jaj sól można używać do potraw.

Jeżeli panuje zaraza na drób, należy zbierać młode szyszki sosnowe, zagotować je w słonej wodzie, a po wystudzeniu dać pić wywar.

W ciepłe dnie jesienne wycinać stare zeschłe gałęzie i przecinać zbyt gęste i krzyżujące się. Okopywać pnie drzew owocowych i dobrze nawozić. Aby wytępić szkodniki, ukryte w korze pni, należy korę tę lekko obskrobać i drzewko pobielić wapnem zmieszanem z gliną i krowieńcem.

Bielenie w jesieni nietylko pomaga w wytępieniu owadów, ale i chroni drzewko od przemarznięcia w zimie. Drzewka owocowe należy sadzić wtedy, gdy drzewko nie rośnie, sadzić więc można późną jesienią, lub wczesną wiosną. Czas sadzenia zależny jest od jakości ziemi. I tak w ziemiach suchych i ciepłych korzystniej sadzić w jesieni, w ziemiach ciężkich, spoistych sadzić na wiosnę. Przy sadzeniu drzew ważną jest rzeczą, by nie sadzić za gęsto. W ogrodach przyjęta jest odległość jabłoni 10 metr., grusz 8 metr., czereśni 8 metr., inne można sadzić gęściej. *J. M.*

Kit do okien.

Kit do zalepiania szpar u okien robi się w następujący sposób: Wapno niegaszone i mąkę żytnią w różnych częściach urobić razem z wodą na ciasto i tem kitować okna.

Wiadomości polityczne.

Otwarcie sejmu i senatu. Wicepremjer Bartel przesłał na ręce marszałków sejmu i senatu dwa jednobrzmiące pisma o otwarciu sesji zwyczajnej sejmu i senatu, w których prosi marszałków o uwiadomienie posłów i senatorów o dniu i godzinie otwarcia sesji w celu wziącia przez nich udziału w otwarciu. Do powyższego dołączono odpis zarządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej o otwarciu sesji na Zamku w dniu 13 listopada b. r. Posłowie i senatorowie zostali o tem uwiadomieni, wskutek czego nowa sesja sejmu rozpoczęła się faktycznie 13 b. m.

Dnia 13 b. m. odbyło się na Zamku uroczyste otwarcie przez Prezydenta Rzeczypospolitej zwyczajnej sesji sejmu i senatu. Ogółem zebralo się 142 posłów i 42 senatorów. W uroczystości wzięli udział przedstawiciele klubów Piasta, Z.L.N., Ch.N., Ch.N., Klubu Pracy Wyzwolenia, Stronnictwa Chłopskiego, lewicy N.P.R., Niemców (oprócz socjalistów niemieckich) i pięciu przedstawicieli Koła żydowskiego. Ukraińcy, N.P.Ch., P.P.S. i prawica N.P.R. na Zamek nie przybyli. O godzinie 2 otwarto podwoje, wiodące do sali, gdzie zebrani posłowie i senatorowie stanęli półkolem. O godz. 2·15 z przyległego gabinetu weszli na salę członkowie rządu z ministrem Bartlem na czele, a w chwil kilka później ukazał się Prezydent Rzeczypospospolitej w towarzystwie marszałka Piłsudskiego. Prezydent Rzeczypospolitej, wszedłszy na podjum, odczytał orędzie otwierające sejm. O godzinie 5 po południu odbyło się pierwsze posiedzenie sejmu, na którem minister skarbu p. Czechowicz w obszernem przemówieniu przedstawił obecne położenie finansowe państwa.

Złożenie mandatu. Minister poseł Moraczewski nadesłał do władz socjalistycznych pismo, w którem w odpowiedzi na przedstawione sobie ultimatum oświadcza, że składa wszystkie mandaty, otrzymane z ramienia stronnictwa. Chodzi przedewszystkiem o mandat poselski i mandat członka Rady naczelnej Polskiej Partji socjalistycznej. Mandat po p. Moraczewskim z 52 okręgu wyborczego obejmie jego następca na liście okręgowej Dr Herman Diamand, który sprawuje obecnie mandat z listy państwowej. W kołach politycznych informują, iż min. Moraczewski uzasadnia w nadesłanem piśmie swoją decyzję tem, że zarządzenia gospodarcze rządu — wbrew odmiennej opinji władz socjalistycznych — nie są wymierzone przeciw interesom robotników. Przeciwnie, poczynania rządu mają na celu zmniejszenie bezrobocia i polepszenie losu klasy robotniczej w państwie.

Spór o szkoły. Rząd nosi się z myślą, aby ujednostajnić naukę we wszystkich szkołach polskich, czyli uczynić szkołę jednolitą. Znaczy to, że chłopiec, ukończywszy szkołę powszechną gdziekolwiek w kraju, mógłby iść do gimnazjum a potem na uniwersytet. Do gimnazjum szedłby, nie tak jak dziś, po ukończeniu czwartej klasy, ale dopiero po siódmej. W takim wypadku nauka w gimnazjum zostałaby skrócona z 8 do 5 lat. Przeciw tym zamiarom rządu wystąpili nauczyciele gimnazjalni, twierdząc, że byłoby to obniżeniem poziomu nauki. Naszem zdaniem twierdzenie to jest błędne, bo przecież wszystkim wiadomo, że materjał naukowy w V, VI i VII klasie szkół powszechnych jest znacznie obszerniejszy od materjału w I, II i III klasie gimnazjalnej. Wobec tego o obniżeniu poziomu nauki mowy być nie może, tembardziej, że ci sami nauczyciele, którzy teraz uczą w gimnazjach, musieliby uczyć w szkołach powszechnych, a więc mieliby pole do pracy i podniesienia nauki. Niektórzy z nauczycieli gimnazjalnych utrzymują, że uczniowie niższych klas gimnazjalnych są lepiej rozwinięci umysłowo, aniżeli trzech wyższych klas szkoły powszechnej. Może się to zdarzyć w niektórych szkołach, ale tylko dlatego, że najlepsi uczniowie idą do gimnazjów, zaś najsłabsi zostają w szkole powszechnej. Tymczasem po zniesieniu pierwszych trzech klas gimnazjalnych wszyscy uczniowie zostawaliby w szkole powszechnej i przez to właśnie poziom nauki znacznieby się podwyższył. Wprowadzenie zamierzeń rządu w czyn byłoby szczególniej dla małych miast i wsi bardzo korzystne. Rodzice, którzy chcą posyłać swe dzieci do gimnazjum, musieliby je wówczas utrzymywać w większem mieście nie przez 8, ale tylko przez 5 lat, co oczywiście niemal o połowę mniejby ich kosztowało, niż obecnie tembardziej, że nauka w szkole powszechnej jest bezpłatna, a w gimnazjach trzeba za nią płacić. I jeszcze jedno. Wiemy, że bardzo wielu chłopców zaczyna gimnazjum, ale niewielka ilość je kończy. I ci właśnie, a są to przeważnie synowie biednych rodziców, nie mają później żadnej szkoły ukończonej w całości, bo powszechną opuścili po 4 klasie, a gimnazjum nie zdołali z rozmaitych powodów ukończyć. Kto więc występuje przeciw szkole jednolitej, ten działa nietylko na szkodę ludności mniej zamożnej, ale przedewszystkiem na szkodę samej młodzieży.

Wybory do rad gminnych na Śląsku. W ubiegłą niedzielę odbyły się wybory do rad gminnych na Śląsku. Winik wyborów przedstawia się następująco: Ruda: listy polskie 9 mandatów, niemieckie 9, Pszczyna Miasto: listy polskie 10 mandatów, niemieckie 14, Szopienice: listy polskie 8, niemieckie 7, Łagiewniki: listy polskie 5, niemieckie 4, Szarlej: listy polskie 5, niemieckie 7, Lubliniec Miasto: listy polskie 11, niemieckie 7, Hajduki: listy polskie 5 niemieckie 7, Murcki: listy polskie 10, niemieckie 5, Piekary: listy polskie 8, niemieckie 7, Tarnowskie Góry: lista zjedn. stronnictw chrześcijańskich 8 mandatów, PPS 2, inne polskie stronnictwa 3, razem polskie listy 13 mandatów, niemieckie 17, Zory: listy polskie 13, niemieckie 11. W powiecie katowickim według otrzymanych z 10 gmin bez Katowic, Polacy uzyskali 120 mandatów, Niemcy 48. Brak jeszcze danych z 8 gmin. W powiecie świętochłowickim według danych otrzymanych z 12 gmin bez Królewskiej Huty Polacy uzyskali 67 mandatów, Niemcy 74. Miasto Królewska Huta: lista PPS 1.996, niemieccy socjaliści 3233, Zjednoczenie niemieckie 18.924, stan średni 339, Polskie Zjednoczone Stronnictwo Chrz. 6.366, lista lokatorów 380, lista komunistów 950, nieważnych 143.

Wilhelm II. myśli o powrocie do Niemiec. Z Doorn donoszą, że w uderzający sposób ujawnia się tam wielka ruchliwość w otoczeniu b. cesarza Wilhelma. W Doorn bawi obecnie około 20 wybitnych osobistości z niemieckich kół prawicowych. Telefon i telegraf są w Doorn nieprzerwanie czynne. Taka sama ruchliwość ujawnia się na zamku w Homburgu, przyznanym obecnie Hohenzollernom. Powyższe objawy świadczą o tem, że Wilhelm pragnie tą drogą przygotować opinję publiczną Niemiec i zagranicy na swój powrót do Niemiec. Powrót ten nie przeszedłby jednak spokojnie, gdyż Francja musiałaby przeciw temu jak najenergiczniej zaprotestować.

Rozruchy chłopskie. Gazety estońskie donoszą z pogranicza sowieckiego, że w szeregu wsi w gubernji pskowskiej wybuchły krwawe rozruchy chłopskie przeciw władzy sowieckiej. Po wymordowaniu komisarzy rządowych zbuntowani chłopi urządzili pogrom żydów i spalili szereg ich domów. Wezwana na miejsce armja sowiecka stoczyła sześciogodzinną krwawą bitwę z powstańcami. Aby uniemożliwić rozbitym powstańcom ucieczkę do Estonji zamknięto zupełnie granicę z tem państwem.

KRONIKA.

Cześć pracy!

W całym szeregu instytucyj i towarzystw obywatelskich pierwszorzędną rolę odgrywają bezsprzecznie organizacje ochotn. straży pożarnej, jako towarzystwa pracujące chętnie, beztnteresownie, nieraz z narażeniem własnego życia. Duchem takiej organizacji jest zawsze naczelnik, on jest tym motorem, który porusza poszczególne kółka i kółeczka w tym całym organizmie, on wychowuje, on ćwiczy i naucza, jak się przy akcji przeciwpożarowej postępować i zachowywać powinno. O jednym z tych nieugiętych i nigdy niestrudzonych bohaterów pożarnictwa i wyznawcy idei bliźniego chciałbym napisać słów parę. Tą piękną a zasłużoną osobą jest nauczyciel szkoły powszechnej p. Jan Kuc z Bochni, a zarazem naczelnik Och. Str. pożarnej tamże. Cieszy on się sympatją nietylko strażactwa w całem województwie krakowskiem, ale i szerokich mas społeczeństwa, które stara się ocenić jego mrówczą a systematyczną pracę na polu pożarnictwa. Nie będę tu wymieniał całego szeregu chlubnych świadectw, dypłomów, listów pochwalnych, które gloryfikują jego pracę, wspomnę jednak o dniu 13 sierpnia b. r., kiedy to wiceprezydent miasta Krakowa p. Wielgus w otoczeniu całego Zarządu Związku Straży poż. woj. krak. udekorował Go srebrnym medalem, za jego pracę pełną owoców jak najpiękniejszych na polu pożarnictwa, oraz jednego z twórców krak. Zw. straży pożarnych. Jest to już drugie z rzędu odznaczenie tego pioniera idei strażackiej, tego budowniczego kilkudziesięciu straży w pow. bocheńskim, znajdującego czas na wszystko (uczy bowiem w szkole powszechnej, zaś w seminarjum żeńskiem uczy śpiewu i muzyki jak również i w gimnazjum, urządza często odczyty o pożarnictwie w obozach harcerskich prócz tego jest redaktorem czasopisma strażackiego p. t. „Wiadomości pożarnicze"). W roku 1918 Rada Zawiadowcza Małopolskiego Związku straży pożarnej we Lwowie nadała mu „Gwiazdę pamiątkową z wyróżnieniem" za podniesienie do najwyższego rozkwitu obrony pożarnej w bocheńskim powiecie. P. Kuc zajmuje dziś w organizacji pożarnej wybitne stanowisko jako wiceprezes Związku strazy pożarnych województwa krakowskiego, oraz członek głównej komisji technicznej w Warszawie, jak również naczelnik okręgu III. ochotniczych straży pożarnych.



Jan Kuc.

Życzymy p. Kucowi z całego serca tego pięknego a naprawdę zasłużonego odznaczenia, bo, mając takich ludzi w naszem społeczeństwie, możemy śmiało patrzeć w przyszłość ojczyzny naszej. Umiłowanie pracy to idea wielka i pożyteczna: na niej budujemy granitowe fundamenty naszego bytu, lenistwem zaś, ospałością i brakiem silnej woli zakopujemy wszystko w gruzy.

Niechaj ta piękna postać Jana Kuca dodaje siły i bodźca do pracy wszystkim tym, którzy już w swoje siły zwątpili!

P. Kuc wystawił sobie już za życia pomnik w sercach tych wszystkich, dla których z pożytkiem pracuje. Cześć Mu!

Robert Rydz.

Rocznica oswobodzenia Polski. Dnia 11 b. m. obchodzono w całej Polsce uroczyście ósmą rocznicę oswobodzenia Polski z niewoli zaborców. Wprawdzie Małopolska zrzuciła jarzmo austrjackie już 31 października 1918 r., zaś Wielkopolska dopiero w grudniu tegoż roku, ale w dniu 11 listopada wrócił do Warszawy ten, który pierwszy zapoczątkował armję polską, który pierwszy obwieścił światu, że żyjemy i żyć chcemy, Józef Piłsudski, i objął w swe ręce władzę nad całym narodem, jako Naczelnik Państwa. W dniu tym uwolniła się Warszawa a z nią cały zabór rosyjski z pod okupacji niemieckiej, to też słusznie dzień ten należy uważać za święto narodowe i czcić go po wsze czasy. Nie umniejszając zasług innych, którzy w wielkiej mierze przyczynili się do uzyskania naszej niepodległości i wielkości, twórcę Legjonów i pierwszego Naczelnika Państwa uważać należy za tego, który pierwszy i najsilniejsze podwaliny naszej wolności swą pracą ufundował. Tylko człowiek zły lub głupi może twierdzić co innego.

Zamordowanie proboszcza. Z Krosna donoszą: Onegdaj w nocy we wsi Wrocanka zamordowany został proboszcz ks. Niewodowski, liczący lat 70. Powodem morderstwa była przypuszczalnie chęć rabunku. Władze zarządziły pościg za sprawcami.

Porwanie 15-letniej panienki. Komenda policji miasta Płocka została onegdaj zaalarmowana wieścią przez właściciela majątku Bieżuny pow. płockiego p. Sommera, iż córka jego, jedynaczka Alma została porwana i uprowadzona samochodem. Uprowadzona panienka ma zaledwie 15 łat i była okiem w głowie swych rodziców. Wydelegowana do Bieżun policja wszczęła energiczne dochodzenie. Najciekawszych dostarczyła służba folwarczna. Jeden z parobkow widział mianowicie kryty samochód, który zajechał przed boczną furtkę parkową. Z samochodu wysiadł młody człowiek w czapce studenckiej, b. nauczyciel domowy porwanej panienki i kazał zawołać pannę Almę. Panienka była wówczas w ogrodzie. Słysząc rozmowę, podeszła do studenta, który rzekł do niej głośno:

— Dziadek pani z Sosnowca jest bardzo ciężko chory! Niech pani zaraz siada do samochodu i jedzie ze mną do niego.

Panienka, nie namyślając się ani chwili, wsiadła do auta, które szybko odjechało w stronę Warszawy. Gdy wieczorem rodzice nakazali poszukiwanie córki, parobek zgłosił się do dworu i opowiedział scenę, której był świadkiem.

Student uwodziciel nazywa się Franciszek Truszczyński i zamieszkiwał w Warszawie. O fakcie porwania zawiadomiono natychmiast policję warszawską, sosnowiecką i krakowską, podając dokładny rysopis porwanej panny i studenta.

Napad bandytów na pociąg. W pobliżu stacji kolejowej Pruszków dokonano onegdaj zuchwałego napadu rabunkowego na pociąg towarowy. W chwili, gdy pociąg znajdował się przed sygnałem, wtargnęło do jednego z wagonów 2 drabów, którzy bezceremonialnie zaczęli wyrucać towary. W tej chwili nadbiegł zaalarmowany patrol policyjny. Złodzieje rzucili się na policjantów, usiłując ich rozbroić. W czasie walki posterunkowy dał kilka strzałów i zranił jednego z rabusiów. Napastników aresztowano. Są to znani złodzieje kolejowi Józef Antoszewski i Aleksander Celestyński. Ciężko ranny Celestyński, skorzystawszy z zamieszania zbiegł.

Zbrodnia w drodze do ślubu. W Okuniewie pod Warszawą szedł ulicą miasteczka wesoły orszak ślubny. W pobliżu kościoła, gdzie ksiądz w ornacie oczekiwał przybycia młodej pary, jeden z mieszkańców, Dydyński, rzucił przez zęby złośliwy dowcip pod adresem panny młodej. Brat przyszłego jej małżonka, Bronisław Budek, nie puścił płazem zniewagi. Skinął na towarzyszy i rzucił się na Dydyńskiego. W zażartej bójce słychać było tylko uderzenia i jęki. Na pomoc Dydyńskiemu pospieszył jego znajomy Jan Mierzejewski. Rozdzielał razy na prawo i lewo, aż nagle odskoczył i dobył z cholewy noża sprężynowego. — Bij frajerów nożem — zawołał Mierzejewski do Dydyńskiego i podał mu okrutne narzędzie zbrodni. Nóż świsnął złowrogo i zimna stal przeszyła szyję brata pana młodego. Krzyk, jęki i wołania o policję rozległy się w miasteczku. Krew obryzgała suknię panny młodej, podtrzymującej głowę umierającego Dydyńskiego. Mierzejewskiego aresztowała policja. Ślub z powodu tragicznego zajścia odłożono. Straszna to rzecz, że ludzie o byle co zaraz się mordują.

Źle mieć dwie żony. Przed kilku dniami w komisarjacie policji w Warszawie zjawił się jakiś skromnie ubrany mężczyzna i mnąc czapkę w ręku, rzekł nieśmiało, patrząc w ziemię:

— Proszę mnie aresztować i odesłać do więzienia. Ja popełniłem zbrodnię.

Zaciekawiony przodownik policji podniósł się z biurka i spytał:

— Zbrodnię? A jaką zbrodnię pan popełnił?

— Ja... ja... jestem dwa razy żonaty...

Przodownik odetchnął z ulgą. Wzrokiem pełnym współczucia spojrzał na oskarżającego się, podał mu krzesło i rzekł:

— Niech pan opowie swą historję.

Przybyły zaczął snuć ciekawą opowieść. Nazwisko jego Marcinkowski. Jako młody człowiek mieszkał i pracował w Nasielsku jako krawiec. Tam poznał młodą i przystojną pannę Felicję i wkrótce stanął z nią na ślubnym kobiercu. Po kilku miesiącach, gdy robota w Nasielsku nie starczała na utrzymanie rodziny, p. Marcinkowski rzekł do żony:

— Wiesz, ja pojadę do Warszawy i będę ci przysyłał pieniądze.

W Warszawie jednak młody krawiec zapomniał o wszystkiem, nawet o tem, że jest żonaty. Spotkawszy w Warszawie uroczą Naścię, stanął po raz drugi na ślubnym kobiercu. Chwilę szczęścia zakłóciła mu jednak straszna wieść: pierwsza żona dowiedziała się o drugiem małżeństwie męża i zjechała do Warszawy, by zemścić się straszliwie. Wkrótce i druga żona dowiedziała się o dwużeństwie. Wzięty w dwa ognie, nieszczęśliwy krawiec cierpiał tak straszne katusze, iż poszedł do policji i oskarżył się dobrowolnie.

— Panie — rzekł do przodownika — ja wolę ciężkie więzienie, ja wolę chleb i wodę, niż dwie żony.

Zamknięto go w areszcie.

Bolszewicy już dość mają bolszewików. Stalin, jeden z przewódców bolszewickich, przeprowadza zmiany na wyższych stanowiskach czerwonej armji i floty. Zmiany idą w kierunku usuwania elementu partyjnego, współczującego z opozycją, a zastępowania go przez byłych oficerów armji carskiej. Na zmiany wpłynęła opinja gen. Kamieniewa, według którego stan zdolności bojowej armji i floty nie odpowiada minimalnym wymaganiom. Spodziewana jest dymisja dowódcy floty bałtyckiej Muklewicza, jako jego następcę wymieniają Pancerzańskiego, jednego z dowódców floty czarnomorskiej. Były generał carski Mołczanow ustąpił jako dowódca armji na Dalekim Wschodzie.

Sowiecki komisarz jako djabeł. „Krasnaja gazeta“, wychodząca w Moskwie, donosi o następującem zdarzeniu: W pewnej wsi żyła biedna stara wdowa Aksenia w wielkiej nędzy. Pewnego dnia wezwano ją do komisarza wiejskiego.

— Czy macie w Ameryce syna? — pyta komisarz.

— A jakże! Mam syna — odrzekła starowinka. Wywędrował przed piętnastu laty do Ameryki i od tego czasu nic o nim nie słyszałam.

— Otóż mogę ci radosną powiedzieć nowinę. Twój syn przysłał ci z Ameryki 500 rubli. Musisz po nie iść na pocztę.

Poczta była odległa o piętnaście klm. Starowinka postanowiła wybrać się tam nazajutrz wczesnym rankiem, w nadziei, że zabierze ją na swój wóz sąsiad, który miał właśnie o tej porze pojechać do miasta.

W nocy, gdy starowinka leżała w swej izbie na przypiecku, usłyszała, że ktoś dobija się do drzwi.

— Otwórz! — zawołał głos ochrypły.

Starowinka otworzyła. W progu stanęła wysoka postać z głową dziwaczną djabła rogatego.

— Mateczko! Czyś zabrała z poczty pieniądze? — zapytał przybyły.

Starowinka na pół martwa ze strachu odpowiedziała, że dopiero nazajutrz pojedzie na pocztę.

— Jestem djabeł! — rzekł dziwaczny gość nocny. — Przywieź jutro pieniądze. Zjawię się w nocy. Żądam, abyś mi je dała. Czekaj na mnie o tej samej porze.

— Dobrze, ojczulku djable! — odrzekła stara.



Nazajutrz pojechała do miasta po pieniądze.

— Dajcie mi tylko 15 rubli — rzekła na poczcie. — A resztę wezmę kiedyindziej.

Zdziwił się pocztmistrz i zapytał, czemu to tak. A starowinka odpowiedziała:

— Bo w nocy djabeł przyjdzie po pieniądze. Nie chcę mu dać wszystkich pieniędzy.

— Jaki djabeł? — zapytał pocztmistrz.

— Starowinka opowiedziała o nocnych odwiedzinach i o groźbie djabła, a pocztmistrz dał o tem wszystkiem znać policji.

Dwóch policjantów ukryło się w chacie staruszki Akseni, czekając na zjawienie się djabła. W oznaczonej porze zjawił się gość oczekiwany. Przyłapano go i zdarto przyprawioną maskę. Teraz okazało się, że był to komisarz wiejski, ten sam, który starowince obwieścił wesołą nowinę o pieniężnej przesyłce z Ameryki. Sąd ławniczy w gminie wydał oryginalny wyrok w tej sprawie. W przebraniu djabła pokazywano komisarza sowieckiego przez cały miesiąc w powiecie i lud okoli-

czny naurągał mu sią do syta Potem w tem samem ubraniu i w tej samej maskaradzie odtransportowany został do Moskwy.

Mieszkanie pod ołtarzem. Zakrystjan kościoła św. Pawła w Monachjum, sprzątając rano w kościele, posłyszał jakiś niezwykły szmer pod jednym z ołtarzów. Odsunął płytę kamienną i spostrzegł leżącą na pierzynach kobietę.



Była to bezdomna staruszka, która z braku dachu nad głową obrała sobie wnętrze ołtarza na mieszkanie. Wieczorem, przed zamknięciem świątyni wsuwała się do swej kryjówki, a rano wychodziła z niej wypoczęta i wyspana. W ten sposób sypiała w ciągu sześciu tygodni, zadowolona z spokojnego kącika. W mieszkanku pod ołtarzem urządziła się dość wygodnie. Miała tam nawet maszynkę spirytusową, na której gotowała wieczorny i ranny posiłek. Bezdomną staruszką zajął się ksiądz proboszcz i umieścił ją w przybytku dla bezdomnych.

Tragiczny zgon żołnierza-zakonnika. W opactwie benedyktyńskiem w Maredsoua, w Belgji, pochowano tymi dniami jednego z zakonników, Ojca Dominika. W rzeczywistości jego nazwisko prawdziwe brzmiało: hrabia de Gruenne, zaś jego zawodem świeckim była wojskowość. Zmarły byl generałem i profesorem strategji. On pierwszy przepowiedział, że na wypadek wojny z Francją Niemcy naruszą neutralność Belgji, ale nikt nie chciał wtedy temu wierzyć. Straciwszy na wojnie dwóch synów, a niedługo potem żonę, de Gruenne wstąpił jako braciszek do zakonu Benedyktynów a w trzy lata później kardynał Mercier wyświęcił go na kapłana. W ostatnim czasie dotknięty niemal zupełną ślepotą potknął się w kościele o stopień i upadając doznał pęknięcia czaszki, a w kilka chwil później zakończył życie.

Policjanci w pace. Ileż to nieraz wysiłków musi ponieść policja, aby ująć przestępców w swe ręce. W ostatnich dniach wydarzały się w Paryżu coraz częściej kradzieże kolejowe, które przybrały zastraszające wprost rozmiary. Na wszystkich stacjach powiększono straże, lecz bez żadnego rezultatu. Wreszcie policja wpadła na doskonały pomysł, a mianowicie zapakowała dwóch policyjnych komisarzy do wielkiej skrzyni i nadała tę skrzynię jako zwykły bagaż. Zamknięci komisasarze mieli ze sobą żywność na kilka dni. Skrzynię przeładowywano z dworca na dworzec, co trwało dwie doby. Na trzeci dzień zjawili się rzeczywiście rabusie kolejowi, przystąpili do skrzyni i zaczęli odbijać. Można sobie łatwo przedstawić, jakie musieli mieć miny, gdy zamiast towaru, wyskoczyli ze skrzyni dwaj kompletnie uzbrojeni komisarze, którzy ujęli złoczyńców w swe silno dłonie. Podziwiać należy wytrzymałość policjantów paryskich, którym dwudniowy pobyt w zamkniętej skrzyni nie odebrał sił fizycznych i energji.

Ceremonjał faszystowski. Dyktator Włoch, Mussolini, mieszka w pałacu Chigi w samym środku Rzymu. Ilekroć Mussolini opuszcza swój pałac, towarzyszy temu wyjściu ceremonjał, który stał się osobliwością Rzymu. Przedewszystkiem z wielkiej bramy wychodzi dwudziestu czterech agentów policji cywilnej, którzy, wymachując laskami i krzycząc: „Z drogi! Z drogi!“ rozpędzają przechodniów, zawsze licznych w tej stronie miasta. Tłum usuwa się posłusznie na bok. Gdy droga jest już w ten sposób zupełnie oczyszczona następuje chwila oczekiwania, przyczem wyjeżdża z pałacu z błyskawiczną szybkością pierwszy samochód. Ale jest to tylko samochód wywiadowczy. Znów zalega chwila ciszy, a potem wypada z pałacu, jak wicher, samochód drugi. Tym razem to już sam wódz Mussolini, którego tłum wita okrzykami, nie mając wszakże możności widzenia go. Żeby tak wyjechać i skręcić, z szybkością huraganu, maszyny muszą brać rozpęd w głębi dziedzińca pałacowego i być prowadzone przez mistrzów kunsztu szoferskiego. We Włoszech doszło już do tego, że wobec Mussoliniego sam król nic nie znaczy, a Włosi niemal na kolana padają przed swym dyktatorem.

Niezwykłe samobójstwo. Jak podają paryskie gazety, dziwny wypadek samobójstwa zdarzył się na oczach ogromnego tłumu w Paryżu na bulwarze des Capucines. O pół do 8 rano spieszący do zajęć rannych przechodnie zauważyli na gzymsie dachu hotelu młodą dziewczynę, szybko się posuwającą na tej zawrotnej wysokości. Wkrótce zbity tłum zatamował ruch uliczny i śledził z napięciem jej niespokojne ruchy. Badany urzędnik hotelu oświadczył: — Gdy wyszedłem na dach i starałem się przemówić do niej, krzyknęła po niemiecku: Proszę mnie nie ruszać, bo skoczę! Napróżno usiłowałem ją uspokoić, nic nie pomogło.

Wtedy przybyła wezwana policja i straż ogniowa. Tłum coraz więcej wzrastał. Sześciu strażaków rozpostarło na dole dużą sieć aby w nią pochwycić nieszczęśliwą. O 9 dostawiono olbrzymią drabinę, która jeszcze bardziej zdenerwowała młodą kobietę. W chwilę później słaby okrzyk na górze i nieszczęśliwa, poślizgnąwszy się na rynnie, runęła z dachu w przepaść. Po drodze zawadziła o balkon 6 piętra, następnie straż ogniowa zdołała ją pochwycić w nastawioną sieć, lecz ciężkie uderzenie głową o bruk spowodowało śmierć natychmiastową na oczach licznych widzów. Bliższe badania wykazały, że była to młoda modystka wiedeńska Leopoldine Fleisteiner, 29 lat, zarządzająca krawieckim zakładem w Wiedniu. Poprzedniego dnia przybyła ze swoim pracodawcą do Paryża. Zdradzała ona od pewnego czasu nienormalny stan umysłu, jak objaśnia pracodawca p. Franck.

Królowa rumuńska wśród Indjan. Dzienniki amerykańskie donoszą z Północnej Dakoty, że królowa rumuńska Marja odwiedziła w tych dniach plemię Indjan Sin. Naczelnik rodu wykonał przed królową taniec narodowy, poczem wygłosił płomienne przemówienie, w którem oświadczył między innemi, że według starej tradycji kobiety mogą być przyjęte do grona wojowników tylko wówczas, kiedy wykonają jakiś czyn bohaterski. Ponieważ o królowej Marji wiadomo, że podczas wojny prowadziła żywot bohaterski, przeto szczep Indjan Sin ofiaruje jej godność kobiety-wojownika. Następnie wódz doręczył królowej starożytną broń indyjską poczem ukłół królowę w palec, aby w ten sposób uzyskać kroplę krwi, konieczną do wykonania tradycyjnego „chrztu krwi“.

RZECZY CIEKAWE.

Wszechświat.

Żyjemy na ziemi, widzimy nad sobą miljony ciał niebieskich i przyjmujemy to wszystko, jako coś naturalnego, nie zastanawiając się często, co i jak jest na świecie. Wielu z nas zna dokładniej te rzeczy, ale przecież są i tacy, którzy nie mają wprost czasu myśleć o tem, na co patrzą codziennie i co ich otacza. Dlatego też o rzeczach tych w krótkich notatkach chcemy na tem miejscu pomówić.

Zacznijmy od tej ziemi, na której żyjemy. Wiemy, że jest ona olbrzymią kulą, obracającą się około swej osi z zachodu na wschód z szybkością 465 metrów na sekundę, a jednocześnie odbywa dookoła słońca bieg, którego szybkość wynosi prawie 30 km. na sekundę. Możemy sobie wyobrazić, jaki to szalony ruch ziemia wykonuje, choć go zupełnie nie czujemy. A nie odczuwamy go dlatego, gdyż ta nasza ziemia tak silnie nas do siebie przyciąga, że nie dozwala na zauważenie swoich ruchów. Odległość powierzchni ziemi od jej środka wynosi bagatelkę, bo tylko 6.360 kilometrów. Powierzchnia ziemi obejmuje 510,000.000 kilometrów kwadratowych, z czego na ląd stały przypada tylko 146,350.000 km. kwadratowych, a resztę to jest 363.650.000 kilom. kwadratowych zalewają morza. Prawda, że ta nasza ziemia, to olbrzym? Ale jest ona niczem wobec tych gwiazd wszystkich, które nad nami widzimy. Gwiazdy te są to przeważnie ogromne słońca, świecące własnem światłem, a są one tylko tak pozornie małe, ponieważ znajdują się w niezmiernie wielkiej odległości od ziemi. Gołem okiem można naliczyć na niebie 2.000 gwiazd. Przy pomocy fotografji naliczono na niebie 105 miljonów gwiazd stałych, a ileż jest takich, których oko ludzkie nie dojrzy z powodu wielkiego ich oddalenia od ziemi. Są też gwiazdy, które nie posiadają własnego światła, ale świecą światłem pożyczanem od słońca tak, jak nasz księżyc. Największe z nich są: Merkury, Wenus, Mars, Jowisz, Saturn, Uran i Neptun. Gdy patrzymy na niebo, największym z gwiazd wydaje się nam księżyc, a to dlatego, że jest on najbliżej ziemi. Tymczasem księżyc jest nawet od ziemi mniejszy i to 50 razy. I on jednak jest od ziemi oddalony aż 384.750 kilometrów. Gdybyśmy mogli lecieć na księżyc samolotem i robili na godzinę 200 kilometrów, tobyśmy zdołali dolecieć tam dopiero za 80 dni. Piechotą, idąc na godzinę 5 kilometrów, odległość taką możnaby przebyć dopiero za 9 lat. A cóż dopiero powiedzieć o słońcu, które jest odległe od nas 149,500.000 kilometrów! Jest to olbrzym 1,310.162 razy większy od ziemi. A jaki gorący! Temperatura bowiem tego olbrzyma wynosi 6.000 stopni Celsiusa, to też nic dziwnego, że tak grzeje siarczyście, choć słońce jest od nas oddalone tyle miljonów kilometrów.

Zastanawiając się nad tymi cudami w wszechświecie, dopiero zrozumieć możemy wszechmoc i potęgę Boga, który to wszystko swą cudowną wolą utrzymuje i tem wszystkiem rządzi.

W następnych numerach pomówimy o dalszych cudach na świecie.

Środek na sen.

Człowiek, który się napracuje, czy to fizycznie, czy umysłowo, o ile jest zdrowy, na brak bezsenności skarżyć się nie może. Są jednak ludzie napozór zdrowi, którzy jednak spać nie mogą. Są oni zdrowi, ale tylko napozór, bo w rzeczywistości zdrowie ich nie jest w zupełnym porządku. I ludzie ci szukają nieraz porady lekarskiej przeciw bezsenności. Środek taki można jednak zrobić sobie samemu bez lekarza. Wiemy wszyscy, że silne zapachy działają na człowieka bardzo usypiająco. Kto więc spać nie może, niechże sobie nazbiera szpilek jodłowych i świeże wprost z gałęzi włoży do małego woreczka. Woreczka nie należy jednak upychać zbyt twardo, żeby nie ugniatał głowy. Następnie rozcina się poduszkę i wkłada woreczek między pierze. Gdy się poduszkę z powrotem zaszyje, wówczas woń jodły przeciska się powoli na zewnątrz do leżącego na poduszce. Szpilki jodłowe zachowują swą woń przez kilka miesięcy, poczem należy je odnowić. Zamiast szpilek jodłowych można użyć także suszonego chmielu, suszonych liści róż, zmieszanych z liśćmi koniczyny, których piękny zapach napełnia całą izbę świeżością.

Pochodzenie chustki do nosa.

Cywilizowany człowiek nie powinien obcierać nosa garścią, ale chusteczką, lub choćby jakim kawałeczkiem szmaty, noszonej w kieszeni. Obcieranie nosa palcami jest rzeczą bardzo brzydką i tego każdy powinien się wstydzić. Nie czynią też tego ludzie, którzy mają jaką taką kulturę. Zdawaćby się mogło, że chustki do nosa znane są już od najdawniejszych czasów. A przecież tak nie jest, gdyż zasługa wprowadzenia w użycie chustki do nosa należy się królowej francuskiej Marji Antoninie. Przy końcu 1784 roku królowa ta urządziła u siebie wielki bal. Podczas uczty jeden z dygnitarzy kichnął tak nieszczęśliwie, iż okazała się konieczna potrzeba obtarcia nosa. Biedak, nie wiele myśląc, począł wyciągać z kieszeni olbrzymi ręcznik. Zobaczyła to królowa, a zwróciwszy się do męża, rzekła:

— Czy Wasza Królewska Mość nie sądzi, że w takich wypadkach dobrze byłoby mieć przy sobie kwadratowy kawałeczek płótna, którym wygodniej byłoby dokonać tej nieprzyjemnej operacji?

W kilka dni potem został ogłoszony rozkaz królewski, oznajmiający zaprowadzenie w całej Francji chustki do nosa, której długość miała się równać jej szerokości.

We Francji upadło królestwo, upadło później i cesarstwo stworzone przez Napoleona I, ale chustka do nosa nietylko utrzymała się po dziś dzień, ale rozpowszechniła się nadto po całym świecie.

Kobiety jako zastaw.

U nas, jeżeli ktoś potrzebuje koniecznie pieniędzy, to zastawia wartościowe przedmioty. W Indjach, przynajmniej w niektórych okolicach, radzą sobie w podobnych wypadkach w ten sposób, że zastawiają żony lub córki. Oddają je do przyjmującego zastaw, albo do kogokolwiek, kto gotów jest dopomódz w potrzebie, a wierzyciel ten zatrzymuje u siebie pannę lub mężatkę aż do czasu, w którym dług zostanie z procentem spłacony. Często zdarza się, że ten, który przyjął zastaw, jeżeli potrzebuje pieniędzy, a dłużnik mu ich zwrócić nie może, oddaje zastaw w inne ręce, aż właściciel nie zbierze potrzebnej gotówki i zastawionej kobiety nie wykupi. Biedni nieraz zastawiają swe córki na całe życie. Zdarza się jednak, że taką zastawioną dziewczynę, o ile jest ładna, wykupuje kawaler i żeni się z nią.

Odpowiedzi Redakcji.

Redakcja nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

PP.: Antoni Kania w W. W.: Prosimy o jednanie nowych prenumeratorów, gdyż na Wołyniu mało jeszcze mamy czytelników. — Franciszek Bojda w N: My i Maciek Bzdura serdecznie dziękujemy za słowa uznania. Będziemy starali się jeszcze bardziej ulepszać „Rolę“, gdy tylko przezwyciężymy początkowe trudności. — Szczepan Orzech w K: Humoreskę otrzymaliśmy, dziękujemy. — Kulka w Dz.: Nie wierzymy, aby to było prawdą, co Pan pisze, gdyż setki listów od naszych czytelników świadczą o czem innem. Zresztą wolna wola. — Franciszek Krząstek w R.: Książka p. t. „Maciek Bzdura“ została już wyczerpana. — Jan Piwowoński w C.: Zagadki otrzymaliśmy — umieścimy. — Julja Moczarowska w R.: Książka p. t. „Maciek Bzdura“ wyczerpana. Rozeszła się ona zaraz w pierwszym roku po wydrukowaniu w liczbie 3.000 egzemplarzy. — Franciszek Banaś w H.: Posłaliśmy. Cieszy nas, że Pan tak umiłował „Rolę“. — Józef Kruska w B.: Prenumeratę otrzymaliśmy, numera wysłane. Za pozdrowienia uprzejmie dziękujemy. — Jan Czader w S. W.: Rebus dobry, ale za kosztowny do reprodukcji. Prosimy o inne zagadki. — Franciszek Kuryłowicz w P.: Wspomniane pismo już od kilku lat nie wychodzi. — Tomasz Janczura w Ł.: Prenumeratę otrzymaliśmy. Kalendarza na rok 1927 niestety wydać nie możemy. Mamy jednak na składzie inne kalendarze, które na życzenie wysyłamy zamawiającym. — Franciszek Jurna w R.: Owszem, wysłaliśmy, dlaczego nie doszła, nie wiemy. — Władysław Bienias w J.: Za uznanie dla „Roli“ i dla nas serdecznie dziękujemy. Pocimy się obaj z p. Kowalczykiem, aby było jak najlepiej. Chwała Bogu, że Czytelnicy nasi nie skąpią nam swojego serca i to nam dopomaga w ciężkiej pracy. Również i Maciek serdecznie dziękuje. — Jan Burzyński w M.: Cieszy nas, że „Rola“ spada spuścizną z ojca na syna. Za życzenia i pozdrowienia dzięki. — Franciszek Chmiel w Ł.: Za tak serdeczny list równie serdecznie dziękuję. Na wojnie nie byłem wcale, ale tylko kilka miesięcy w kancelarji. Później jeździłem jako korespondent zwiedzać różne pobojowiska i tam napatrzyłem się dość nędzy ludzkiej. Prenumeratorów tylu, jak Pan przypuszcza, jeszcze nie mamy, ale w każdym razie więcej, jak przed wojną. A liczba ich stale i szybko się powiększa. Cześć! — Władysław Łaciak w L.: Za słowa uznania dziękujemy. Obecnie trudno nam dział ten traktować obszernie. Gdy „Rola będzie wychodziła co tydzień, wówczas go powiększymy. — Karol Homiński w K: Witamy wnuczka dawnego naszego przyjaciela, jako nowego przyjaciela. — Piotr Świrad w Cz: Za życzenia dzięki. Łączymy uprzejme pozdrowienia. — Kapitan Orłowski w W.: Prosimy i czekamy. — Mieczysław Michalski w P.: Nadesłany rebus nie wyszedłby dobrze w druku. — Ks. D. Litwiński w J. Cieszą nas bardzo słowa uznania z tak zacnych ust. Dążeniem naszem jest dawać pokarm zdrowy dla duszy katolickiej, a unikać siania nienawiści, co dzisiaj, niestety, praktykują nawet pisma katolickie. Wśród Duchowieństwa mamy wielu prenumeratorów. Specjalnie jednak do poszczególnych osób zwracać się nie chcemy, aby nie być natrętami. Za adresy serdecznie dziękujemy. — Adam Jesionek w W.: Całem sercem witamy. O treściwy opis wspomnianego cudu prosimy. Dobrze byłoby dać wiersz równocześnie z opisem. — St. Kiwała w S.: Numera wysłane powtórnie. Może się minęły w drodze? — P. Lampart w St.: 50 k. cz. dodatkowo otrzymaliśmy, w przemianie czynią 13·30 zł. Numera dodatkowo posłane. Dzięki. Cześć

Giełda zbożowa.

W ostatnich dniach płacono za 100 kilogramów: Pszenicy 52 do 53 zł, — żyta 41.00 do 42.00 zł, jęczmienia przemiałowego 33.00 do 34.00 zł, owies 33 do 34.

Giełda pieniężna. Złoty polski ustabilizował się i nie podlega większym wahaniom. Za dolara płacą nadal około **9 złotych.**

Na fundusz wydawnictwa złożyli: PP.: Wł. Rusek 72 gr., R. Rydz 2 zł. wzywając do złożenia takiej samej kwoty pp. Juzefa Mikulskiego z Bochni, p. J. Kuca, p. Janinę Slizowską naucz. z Lipnicy, p. Ign. Freya z Bochni, p. W. Byczka z Sanoka, p. Ant. Stawiarczyka kom. sk. z Lublina i wyznaczenia innych, p. K. J. 1 zł., St. Bąbaś z O. 1·50 zł.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

(Ułożył Antoni Marchlik).

♡ ♡ ☆ Budowa z cegieł.
♡ ♡ ☆ Narząd zmysłu.
♡ ♡ ☆ Przyprawa do potraw.
♡ ♡ ☆ Inaczej „szydzi“.
♡ ♡ ☆ Część twarzy.
♡ ♡ ☆ Środek komunikacji.
♡ ♡ ☆ Połowa doby.
♡ ♡ ☆ Nakrycie głowy u Turków.
♡ ♡ ☆ Inaczej „niedobrze“.
♡ ♡ ☆ Niedźwiedź w gwarze ludowej
♡ ♡ ☆ Potrzebna do szycia.
♡ ♡ ☆ Roślina.
♡ ♡ ☆ Zaimek pytający.
♡ ♡ ☆ Przyrząd do krajania.
♡ ♡ ☆ Łacińskie pozdrowienie.

Końcowe litery, czytane z góry na dół dadzą życzenie dla jednego z pism polskich.

Szarady.

(Ułożył Jan Piwowoński).

I.

Pierwsze i drugie matka swe dziecie;
Na polu rośnie drugie i trzecie.
W zimie wieczory zazwyczaj długie,
Wtedy się zwykle trzecie i drugie.
Czwartej używa żydek, a pierwsza wskazuje
Jakto nam wszystko pięknie „Rola“ opisuje.
Nawet i trzecie, czwarte też czytają „Rolę“,
Ja zaś wszystkie zagadki rozwiązywać wolę.
Całość w ogrodzie z wiosną znajdziecie.
Koniec szarady, a zatem trzecie.

II.

Pierwszą znajdziesz zawsze na każdem weselu
Trzecia, druga ludzi dzieli, choć ich tak niewielu.
Druga, trzecia to kupcowa, co ciągle handluje
No, a przytem kupujących często oszukuje.
Całość znacie! To człek dzielny, co nie szczędzi trudu,
By wydawać dobre pismo dla oświaty ludu.

Zagadka.

Pokój ma cztery kąty. W każdym kącie siedzi kot; naprzeciwko każdego kota siedzą trzy koty. Na ogonie każdego kota siedzi jeden kot. Ile kotów było razem, ile brakowało, jeżeli właścicielka chciałaby uzupełnić ich liczbę do pół tuzina.

Przestawianka.

Bo, Bóg, cą, cą, cno, da, do, dno, dno, dzie, dzie, ga, i, je, je, kto, lu, mu, no, no, o, o, pan, pra, ra, ra, się, szczę, szczę, ści, ści, ścią, ta, te, wie, wol, usta.

Z powyższych zgłosek ułożyć trzy znane przysłowia.

Termin nadsyłania rozwiązań do 28 bm.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Jan Czader z S. W., Tomasz Wójcik z Tom. Raw., Wincenty Flis z L., Alojzy Drozd z K., Piotr Galocz z C., Jan Gnatek z T., Jan Półtorak z K., Eugenjusz Leichardt z K., Rudolf Kulla z K. M., Alojzy Gradowski z W., Józefa Stoch z D., Leon Procner z S., J. Gąsior z S., Marja Kapitanowna z Ł. Czesław Kozłowski z W., Józef Rylewicz z T,. Stanisława Sydorowa z K:, Grzegorz Nowakowski z Z., Marjan Walas z K., Jan Patulski z S., Henryk Marciński z K., Władysław Bienias z J., Józef Gasiński z B., Mieczysław Michalski z P., Florjan Ciebiera z Rz., Antoni Bieroński z K., Piotr Świrad z Cz., Andrzej Grzegorek z U., Fr. Kuliński z Z., Leon Łętowski z S, Piotr Gródek z T., J. Mrożek a Z., F. Czakon z P., Alojzy Masny z W., T. Szetela z D., Ant. Dudziak z P., Wł. Łaciak z L., Garbarz Józef z K., K. Sitko z D., J. Marmor z T.

Nagrody za rozwiązanie wylosowali pp. Stanisława Sydorowa z K. „Prześladowanie chrześcijan“, K. Sitko z D. „Tajemnica Sfinksa Północnego“.

Znaczenie zagadek z Numeru 3 „Roli“: 1. Arytmogryf: Mickiewicz — Pan Tadeusz. 2. Zagadka: Żebra. 3. Łamigłówka literowa: Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz. 4. Szarada: Dąbrówka.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni »Czasu« w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.